



# POWIEŚCI UKRAIŃSKIE

*Zosia Żytkiewiczówna. Nestor Pisanka*

przez

*Tadeusza Padalicy*  
(*Zenona Fischa*).



WARSZAWA.

Nakładem Redakcyi „Gazety Polskiej“

Druk J Sikorskiego, Warecka 14.

—  
1898.

Zbiory specjalne

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ  
Варшава, 10 Октября 1898 года



K. 164/80 | M 9049

Z KSIĘGOZBIORU  
Zygmunta Salińskiego

Nr. \_\_\_\_\_

## Tadeusz Padalica

(Zenon Fisch).

Potrzeba u nas niezmiernie wydatnego talentu pisarskiego, ażeby imię jego dłużej się przechowało w pamięci ogółu, spragnionego wciąż nowości. Uzdolnienia pośrednie, choć w swoim czasie odegrały ważną rolę w rozwoju oświaty i przyczyniły się do postępu umysłowego, rychło popadają w zapomnienie, z którego niełatwo wydobyć je na wierzch.

Losowi temu uległ i, znany pod pseudonimem Padalicy, Zenon Leonard Fisch (pisany także i Fisz). Po śmierci jego nakreślono parę nekrologów, Leonard Sowiński zaszczylił go nawet w „Kłosach” dłuższem wspomnieniem, opartem w części na rękopiśmiennych danych; ale ponieważ to blisko dwadzieścia lat temu, obecne pokolenie mało już wie o autorze „Pokojówki”, „Nestora Pisanki” i „Zosi Żytkiewiczówny.”

A szkoda! Gdyby pokolenie to знаło pisma Padalicy i innych dawniejszych autorów, możeby nie tak łatwo pośladało w zachwyt, pochłaniając wytwory modernistów norweskich czy francuskich, gdyżby się przekonało, że i w przeszłości nie brakło sporadycznych objawów, bardzo podobnych do przechwalanych dzisiaj „nowoczesnych“ kierunków.

Dla poparcia tego twierdzenia przykładem, oto wyjątek z bardzo wczesnego szkicu Fischy, zatytułowanego „Wyjątki z pamiętnika Eweliny.“ Opowiada tu Ewelina o „momencie psychologicznym“, kiedy Józef, kochający się w niej niegdyś, jako w bogatej pannie, pocichu, tak, że ona o tem nic nie wiedziała, zapanaował już nad jej duszą i, zamiast skorzystać z jej skłonności, sceptycznymi refleksjami mroźną wkoło siebie roztacza atmosferę, mówiąc:

„O, ty nie znasz mnie jeszcze, Ewelino! Ja poznałem, iż cele naszego szczęścia często dopóty ładne, aż zbliżym się do nich. Pod ręką ono staje się pospolite. Posiąść go, ogarnąć na zawsze — niepodobna. Trzeba umieć użyć w chwilę spotkania się — i zakochać się najszczerzej, i rzucić bez żalu, bo jeśli zabawisz się nad nim choćby chwilkę dłużej, ono, jak nietykalny kwiat, osypie się z różowych listeczków w twych ręku. Nie zbliżam się więc nigdy, patrzę na nie zdala, zachwycam się jego blaskiem, biegnę z całym złudzeniem, ale stoję, nie dobiegłszy mety, lub jeśli już chcę koniecznie dotknąć go mą dłonią, to zawczasu buduję sobie zamiar, obieram dogodną stronę — i tak przygotowany wypełnię tylko plan skreślony uprze-

dnio i wnet-że odbiję od brzegu. Te moje czyny często są dziwacznej natury, często wbrew przeciw pojmowanej z głupiego punktu moralności, często w duchu najczystszej cnoty — wszakże zawsze sumienne. Ja cię kocham, Ewelino; ale wiesz jaką miłością? O! nie duchową, lecz i nie materyalną! więcej uczuciową, lecz czystą! Twa obfitość uczuć czaruje mię mocno; zachwycam się nimi, jak zachwyca się malarz niszczącym obrazem pożaru... Ale nie chciałem patrzeć na skutki jego — o! i Bóg mi świadkiem, iż nie chcę — nie żądam...“

Czyż nie są to słowa indywidualisty-neurastenika, lubującego się dystylowaniem swoich wrażeń, chełpiącego się swoją wrażliwością i niezdolnością do czynu? Czyż podobnych wynurzeń nie czytamy w książkach „Młodej Skandynawii“ i w naszych naśladowaniach?... Refleksye Fischy mają te nad nimi wyższość, iż są starsze o lat blisko pięćdziesiąt i płynęły nie z naśladowania, lecz wprost z usposobienia młodego, 25-letniego autora, wcześniej rozczarowanego...

Ród naszego nowelisty pochodził z Galicyi, gdzie się podpisywał nazwiskiem *Fis*, zmienionem w późniejszych dokumentach na Fisch.

Zenon urodził się we wsi Kluczkach, nieopodal Białynicz, w gubernii Mohylewskiej, roku 1820; ale w dzieciństwie jeszcze przeniósł się z rodzicami na Ukrainę. Wykształcenie jego było zaniedbane; szkół wyższych nie kończył, a co umiał, zawdzięczał tylko samodzielnemu czytaniu.

Mając lat 23, napisał obszerną tragedję wierszem p. t. „Konarzewicz w Białogrodzie“ i przesłał ją bezimiennie do „Przeglądu Naukowego“, wydawanego w Warszawie pod redakcją Edwarda Dembowskiego i Hipolita Skimborowicza. Ci tak byli zachwyceni utworem genialnego, jak sądzili, młodzieńca, że cały utwór dali odrazu w jednym ciągu w piśmie swoim, a potem ogłosili w osobnej odbitce. Czytając dzisiaj tę tragedję, nie możemy podzielić zapalu młodych ówczesnych redaktorów: — ani charakterów prawdziwych, ani sytuacji rzeczywiście tragicznych, ani porządnej kompozycji niema tam wcale; widoczny jest natomiast zapal, buchający ze wszystkich wierszy, mówiących o uczuciu, o miłości. Ten zapal widocznie oddziaływał na redakcję „Przeglądu Naukowego“, rokującą młodzieńcowi świetną przyszłość na polu dramatycznym.

Ale Fisch ani jednego już dramatu później nie napisał, a żar uczuć przygasł w nim niebawem. Rozwinęły się natomiast upodobania artystyczne podczas pobytu w Petersburgu r. 1845.

„Kiedym mieszkał—powiada on — w tej stolicy z lodu i kamieni, zdarzały się chwile zniechęcenia się wszystkim, co mnie otaczało, tak to stawało się w mych oczach bezduszne i obłudne... Natenczas szedłem do akademii Sztuk Pięknych; tam w pustynnych jej salach znajdowałem obraz Madonny i modliłem się... Szedłem do posągów Carovy, do obrazów Brulla i Tyrnowa — i całe godziny wpatrywałem się w idealne kształty... Cóż powiesz? Powracałem już

jak nie ten; tłum, co mię gniewał przed chwilą, oziarałem z politowaniem i wyższością jakąś... byłem zadowolony sobą...”

Pobył w Petersburgu był i z innego względu ważny i to już nietylko w rozwoju indywidualnym Fische, ale także w pewnej mierze w rozwoju naszej publicystyki.

Wiadomo, że około r. 1840 zebrało się przy „Tygodniku Petersburskim“ grono osób o bardzo wydatnych a niekiedy wstrętnych poglądach zachowawczych i kościelnych, grono występujące wrogo przeciwko każdemu przejawowi wolnomyślnego postępu, niezależnego badania i demokratycznego kierunku w sprawach społecznych. Do grona tego należeli: Józef Przesławski (redaktor i wydawca „Tygodnika“), hr. Henryk Rzewuski, Michał Grabowski, ksiądz Ignacy Hołowiński i Ludwik Sztyrmer. Opinie, przez nich głoszone w organie, mającym znaczną liczbę prenumeratorów na Litwie i Rusi, oburzały młodzież, zwłaszcza uniwersytecką, która próbowała też zakładać skromne protesty przeciwko rycerzowi „Ciemnogrodu“, z początku w samym-że „Tygodniku Petersburskim.“ Gdy jednak zaczęła występować śmieiej, redaktor, popisujący się dawniej swoją bezstronnością, zapomniał o niej i artykuły poprostu rzucał do kosza.

Wtedy powstała myśl założenia osobnego wydawnictwa, gdzieby dążności postępowe znaleźć mogły odpowiednie dla siebie miejsce.

Fisch, obracający się w kołach młodzieży uni-

wersyteckiej, pisujący do „Tygodnika“ i do „Athenaeum“, myśl tę pochwylił i urzeczywistnił, przy pomocy dwu ludzi, z których jeden, Jakób Jurkiewicz (Benedykt Dołęga) znany był już nieco ze swoich poetyckich przekładów i rozprawek, a drugi, Antoni Marcinkowski (Albert Gryf) w mundurze studentkim jeszcze chodził, ale się odznaczał bardzo ostrem piórem i znacznym zapasem zdolności polemicznych.

Wydawnictwu dano tytuł: „Gwiazda, pismo zbiorowe.“ Wyszło ono w Petersburgu z datą roku 1846 i wywołało ogromną wrzawę na łamach „Tygodnika Petersburskiego“, którego filar główny, Henryk hr. Rzewuski, był tam boleśnie, bo dowcipnie, dotknięty piórkiem Alberta Gryfa.

Jako pierwszy publiczny objaw opozycji przeciwko tendencyom „Tygodnika Petersburskiego“ powitaną została „Gwiazda“ przez młodzież radośnie; wzięto ją sobie za sztandar w walce ze wstęcznictwem. Wydawnictwo przeniesiono do Kijowa, ale redaktorem dalszych numerów nie był już Fisch, lecz Jurkiewicz.

Do pierwszego tomu „Gwiazdy“ napisał Fisch kilka sonetów, będących naśladowaniem „Sonetów Krymskich“, oraz parę innych wierszy („Dziś już nie to“, „Do mojej dziewczicy“), okazujących stan wewnętrznego niepokoju, ale głównie ujawnił swój talent w prozie nowelistycznej pod ogólnym tytułem „Profile“, złożone z trzech urywków: „List z kijowskich kontraktów“, „Wyjątki z pamiętnika Eweliny“, „List Józefa do Karola.“ Pod względem języko-

wym nie brak tu zwrotów obcych; pod względem artystycznym widać skłonność do satyry, okraszzonej dowcipem, oraz do realistycznego traktowania ludzi i stosunków, sporo plastyki w obrazowaniu sytuacji; styl zaś odznacza się wielką żywością tam, gdzie autor brał wzorki z natury.

Poczuwszy w sobie zdolności nowelisty i felietonisty, rzadko już kiedy Fisch używał rymów, lecz prawie wyłącznie zwrócił się do prozy. Jakkolwiek sympatyzował z dalszem wydawnictwem „Gwiazdy“, mało jej dawał artykułów, bo przez trzy lata znajdujemy tu tylko urywek z jego listu i „Kontrakty Kijowskie r. 1849 w zarysach à la Kwacz“ (tom IV „Gwiazdy“). W polemikę z „Tygodnikiem“ publiczną nie wdawał się, a gdy Henryk hr. Rzewuski, przeniósłszy działalność swoją do Warszawy, założył tu „Dziennik Warszawski“, Fisch pod pseudonimem Tadeusza Padalicy został niebawem jego korespondentem, tak zresztą jak i inni współpracownicy „Gwiazdy“, która w r. 1849 zagaśnięć musiała.

Produkcyjność Fisch'a nie była wielką. W roku 1850 ogłosił w Wilnie szkic obyczajowy p. t. „Pokojówka“, który nabrał dużego rozgłosu; w „Bibliotece Warszawskiej“ r. 1855 pomieścił „Pamiętnik legitymującego się szlachcica“, w „Dzienniku Warszawskim“ i „Gazecie Warszawskiej“ kilka innych zarysów, z pomiędzy których najlepszymi były: „Nestor Pisanka“ i „Zosia Żytkiewiczówna.“

Rozproszone w czasopismach utwory swoje zebrał w r. 1856 i ogłosił w Wilnie w 2 tomach p. t. „Opowiadania i krajobrazy.“ Tegoż roku, również w Wilnie, wyszła jego praca: „Wiadomości historyczne [o smilańskim parafialnym kościele na Ukrainie i obrazie cudownym N. P. łaskami w nim wstawionym.“

Niebawem potem wyruszył za granicę, a owocem tej kilkumiesięcznej wycieczki były świetnie pisane „Listy z podróży“, drukowane pierwotnie w „Gazecie Warszawskiej“, a potem oddzielnie w 3 tomach w Wilnie ogłoszone i z wielkim zajęciem czytane.

W roku 1860 został współpracownikiem zreformowanego przez Adama Honoryusza Kirkora „Kuryera Wileńskiego“ i drukował tu kilka polemicznych rozpraw. W ostatnich latach życia zajmowały go silnie studia etnograficzne. Na dwa lata przed zgonem opanował go rozstrój umysłowy; kreslił wówczas bezustanku jakieś dziwaczne projekty treści przemysłowo-ekonomicznej.

Zmarł w majątku swoim, Prusach, w gubernii kijowskiej, roku 1870. O zbiorowym wydaniu dzieł jego nikt nie pomyślał! Dobrze się tedy stało, że „Gazeta Polska“ cząstkę ich przynajmniej od zapomnienia uratować pragnie.

*Piotr Chmielowski.*

ZOSIA ŻYTKIEWICZÓWNA.

Use harazd, use harazd to za odno straszno,  
Wykladajut hajdamaki iz za lory ezasto.  
(*Z pieśni gminnej o Kozaku Sawie*).

Okolo 1758 roku, żył w Mosznach szlachcic polski, Onufry Żytkiewicz. Był to szlagus, na owe czasy, ciepły, handlował wołami, kupując je na okolicznych jarmarkach i potem pędząc na sprzedaż do Włodawy. Czerstwy, rumiany, o białych włosach i takimże zawieszonym wąsie. Gaduła, bywalec i, pomimo wiek podeszły, czynny i przedsiębiorczy. Zawsze na wózku, zawsze na jarmarkach, z trzosem okolo bioder, karabelą u pasa i szwedzką o dużym zamku flintą, która towarzyszyła mu na wózku w podrózach. Szlachta, żydzi i chłopci znali go w całej okolicy. Ciągłe ocierając się o lud, mając nieustanną z nim styczność, zaczął się on posługiwać językiem ukraińskim i w końcu tak doń przywykł, iż wyrażał się nim dobitniej i łatwiej, niż swoim, jeśli zaś zniewolony był czasem użyć — polskiego, to go dopełniał przysłowiami i sentencyami wziętymi od ludu. Miesz-



kał on przedtem w Smile, lecz gdy go okradziono kilka razy z pieniędzy, w domu a z bydła w polu, gdy nakoniec, podczas jarmarku jednego, przepadł mu jedynak jego, Pawełek, chłopczyk lat dziesięciu, obrzydził sobie to miasto, nasadził mu czortów i biesów, i przyjechał na mieszkanie do Moszen, gdzie miejscowy proboszcz był jego dalekim po żonie krewnym. Co do syna, gdy wszystkie poszukiwania zawiodły, zgodzono się na domysł, iż musiał się utopić przypadkowo w Taśminie. Stary wzdychał, stękał, ale boleść minęła i po jakimś czasie znowu poszedł pracowity dziadora z wołami do Włodawy.

Staremu pozostała żona i prześliczna córeczka, imieniem Zosia. Po matce wzięła rysy twarzyczki, po ojcu czarne brwi i oczy, od Boga zdrowie, rumieniec i wesele. Rosła ta lubka szybko jak trzcina, a kwitła roszkosznie jak róża. Gruba to była na owe czasy młodzież, a zdrowych dziewczek po szlachcie, to na Ukrainie nie rzadkość. Z tem wszystkim i w kościele i w gościnie, zapatrywano się na Zosię, uwielbiano ją, zapominano przy niej słów w gębie; szeptało: aj dziewczyna! jak łania, jak rybka!

Życie w Mosznach i dziś jest samotne, ciche, jednakie, a było jeszcze cichsze w tamte lata. Tu szumiały puszcze irdyńskie, a tam gdzieś w bezgraniczne ciągnęły się ługi dniewprowe; pasieki huczały od pszczół, futory i sady oblewały się każdej wiosny kwieciami a łąki woniały macierzanką i czombrem. Z nadejściem zimy odmieniały się obrazki natury, ale serce dziewczę, młode, zbierawszy marzeń le-

tnich z ziemi i z nieba, tuliło je w ciepłej izdebce, przerabiając na pieśni i dumki i jak pszczołka żyło własnym miodem. Podczas świąt odwiedzała Zosia sąsiadów, bawiła się z rówieśnicami i powracała z wesołym okiem, rozognioną twarzą i rozmazaną pierśią; a w dni powszednie, w długie grudniowe wieczory, otoczona gronem wiejskich dziewcząt, przędła z niemi lub szyła, słuchając ich bajek i pieśni. I według tychże pieśni, wyobrażnia jej pisała swoje o przyszłości arabeski, maczała je w czarowne farby i naprowadzała jaskrawymi prążkami, jak ora sama przywykła o Wielkiej-nocy kolorować pisarki.

O czem innym marzyć mogło dziewczę młode jak Zosia, karmione, według wyrażenia poety „mlekiem dum i mleczem kwiecia“ kolysane od kolebki najrzewniejszymi piosukami najpoetyczniejszej naszej ziemi? Osloniły ją one jak niewidzialne istoty, jak opiekuńcze duchy i strojąc główkę i pierś we wstążki i kwiatki, kraszając jagody, rozczesując długie warłocze, wpuszczały razem roje motylkowych marzeń do serca, które ją zaczarowały na istotne dziewczę Ukrainy, wyrabiając w niem potęgę miłości.

Marząc ciągle o pięknych bohaterach bajek, o zaczarowanych królewnach, o siedmiogłowych zmiłach, strachach, upiorach i widmach, Zosia rozbudziła do pewnej potęgi uczucie cudowności i przywidzeń, stała się dostępną najmniejszym wrażeniom i często miewała sny dziwne. Raz, było to na wiosnę, przysniło się jej, jakoby przyleciał na dziedziniec rodzi-

cielskiego domku straszny żmij o siedmiu dużych głowach, niosąc na karku królewicza.

Ten królewicz jakoby wezwał przez okno jej ojca i rozkazał mu wyprowadzić doń córkę. Kiedy wyszła przelekniona Zosia, zjawił się zkądś rycerz i bił się z królewiczem długo. Żmije syczały i robiły się coraz czerwiesze, jakby je krwią kto ofarbował, i nakoniec stanęły w płomieniach.

Od tego ognia, przywidziało się dziewczęciu, jakoby zajął się ich domek, a pożar tak piekł w lica, że wśród tej straszliwej sceny porwało się dziewczę ze snu i zakrywając rękoma oczy, robiąc piersiami, krzyknęła przeraźliwie. Przybiegli do łóżka rodzice, wniesiono świecę, uspokojono ją cokolwiek, ale wrażenie snu tak było przykre, iż nie mogła zasnąć do dnia białego. Ojciec nazywał te marzenia dzieciństwem, matka zaleciła zmówić nazajutrz koronkę do Przemienienia Pańskiego, a baba Ołena tłómaczyła sobie sen taki zupełnie inaczej, i uspokoiła aż wtedy biedną Zosię, gdy ta ją zapewniła, że nie widziała wypadających zębów, ani pokoszonego żyta.

Nazajutrz, że to była niedziela, udali się wszyscy do kościołka. Gdy Zosia, klęcząc przed ołtarzem, odmawiała koronkę, wtem dał się słyszeć od progu brzęk oręża, i prawie jednocześnie weszli do środka kościołka dwaj nieznajomi mężczyźni. Jeden z nich, był to młody i ładny blondyn w mundurze kawalerii narodowej; drugi brunet, orlego nosa, żywych, czarnych oczu, w sajętowym na futrze żupanie ze złocistymi pętlcami i w granatowym kontuszu. Czapkę

miał w ręku lamowaną sobolem, karabełę u boku zawieszoną na czerkieskim pasku, po wierzchu którego jaśniał pas złotolity. Tatarska burka leżała mu malowniczo na barkach. Był to mężczyzna lat około czterdziestu, ale tak krzepki i muskularny, iż mógł ująć za hożego młodzieńca. Dwaj tacy goście w ustronem miasteczku zwrócili na siebie powszechną uwagę. Już biegały domysły, co są za jedni i czego tu przybyli? gdy po mszy, wraz z innymi, udali się do domku proboszcza i, uprzedzając ciekawość przytomnych, zarekomendowali się: pierwszy porucznikiem Stanisławem Brzozowskim, drugi szlachecciem Wichrowskim.

Ale chociaż ci obadwa przybysze zjawili się jednocześnie w kościołku, byli wszakże zupełnie sobie nieznajomi, przybywali ze stron przeciwnych i prostym wypadkiem zeszli się jednocześnie. Brzozowski jechał z Kaniowa, dokąd był posłany od swej zwierzchności z jakimś poruczeniem, tyczącem się obrony linii pogranicznej, a Wichrowski, jak powiadał, przybywał z za Dniepru, gdzie mieszka oddawna i handluje końmi. Opowiadał, że posiada na Czarnobajowskich stepach liczne tabuny i kilkadziesiąt wybranych koni prowadzi właśnie na sprzedaż do zamków pogranicznych. Źle mówił po polsku, mieszał w rozmowie wyrazy małoruskie i tłómaczył się, że odwykł od ojczyztego języka, mieszkając oddawna w głębi Małej-rusi. Żytkiewicz, skoro dowiedział się, że młody towarzysz zowie się Brzozowskim, zbliżył się



doń poufale, ujął oburącz blondynową głowę młodzieńca i, kładąc pocałunek na czole, rzekł:

— A sobako ty jednal nie poznałbym cię za nie, takeś mi urósł i zmężniał. — I zaraz pociągnął go za sobą do żony, której przypominał, że to ten sam Stasio, który w Śmile przed laty dziesięciu biegał z jego Pawelkiem po ogrodach i ulicach, syn starego Brzozowskiego, mieszkającego dziś w Nadtaśmińskich lasach. Gdy młodzieniec zapytał starego o syna, gdzie jest teraz? Żytkiewicz, wzruszony, pochwyił go za rękę, spojrział mu w twarz kwitnącą rumieńcem i rzekł:

— Oj, chłopcze! bieda! nie mam syna, nie mam pociechy na starość! — I lzy mu zakręciły się w oczach.

— Ale masz za to córkę jak makówkę...— rzekł ktoś z boku,

— To towar, mosanie — odpowiedział Żytkiewicz.

A Zosia zarumieniła się jak koral i nie trzeba było już objaśniać młodzieńca, kto była ta nadobna dziewczyna? Przyznał w duchu młody towarzysz, że piękniejszej nad nią nie widział jeszcze między Ukrainkami. Kiedy po chwili podniosła spuszczone oczy, i spojrziała na niego, te oczy, jak mówią u nas na Ukrainie, zaprzepaściły na wieki młodzieńca. Ale w tejże chwili wzrok obcy, silny, ognisty, jak tej siedmiogłowej żmii, która biedne dziewczę dręczyła we śnie, oparł się o jej lica i jakby je polał ukropem. Zosia mimowolnie spojrziała na stronę i spotkała się ze wzrokiem nieznanego...

Towarzystwo u proboszcza składało się z gubernatora klucza mosznańskiego, Izzydora Kwiatkowskiego, lacha suchego, wysokiego, od paraliżu trzymającego zawsze głowę przechyloną ku prawemu ramieniu i jego żony, otyłej kobiety, o nabrzęklej twarzy, osadzonej kilkoma brodawkami; z leśniczego Piotra Poletyło, szlachezca krępego, w szaraczkowym ku-braku i skórą podszytych hajdawerach, z kapszukiem tytoniu, uczepionym do guzika u piersi i króciuchną fajeczką, którą nosił zawsze w kieszeni; dalej, z Benedykta Szulca, rachmistrza, olbrzymiego wzrostu mężczyzny, jakały, z przysłowiem: „krótko mówiąc w krótkości funt tego — o!” i nakoniec z małego, zwinnego człowieka, Stanisława Broniszewskiego, służącego niegdyś w Korsuńskiej milicyi, trzymającego się prosto, pijącego ile wlezie i łgarza co się zowie. Mieszkał on teraz w Mosznach, w dożywotnim dworku, miał wózek i parę szkap, któremi ciągle po kolei objeżdżał sąsiadów, rozwoził ukłony i babskie plotki, robił prezenta z zajęcy i kuropatw, dostarczał drożdży na Wielkanocne święta; słynął nadto jako zawołany lekarz, nadawał malcom nazwiska i uczył ich musztry.

Po gawędce i śniadaniu, gubernator, odjeżdżając, zaprosił wszystkich do siebie na obiad; naturalnie, iż w tej liczbie byli: Brzozowski i Wichrowski. Pomieszkание gubernatora różniło się tylko większością rozmiarów od zwyczajnych szlacheckich domów. Był to dom duży, pokryty słomianą strzechą, a z obudwu stron miał odrębne budynki, przeznaczone na

piekarnię, spichlerze, wozownie, stajnie i t. p. Wszystko to opasywał częstokół, a u wrót, na podobieństwo strażniczych wieżyczek przy zamkach, widniał chruściany szalasz, z kąd stróż wylazł na czworakach, gdy trzeba było przyjeżdżającym otwierać wrota. Przez drogę stał budynek inny, opasany wysokim ostrokołem, przeznaczony dla aresztantów. Wkrótce zaczęły tarabanić bryczki i wózki, i komnaty gubernatorskiego domu zapełniły się gośćmi. Młody Brzozowski i Wichrowski wjechali konno: porucznik z szeregowcem a Wichrowski z kozakiem, a chociaż koń Brzozowskiego był piękny i rząd na nim strojny, wszakże nie mógł iść w porównanie z arabskiej krwi rumakiem Wichrowskiego, ani z rżędem jego świecącym od srebra. Z początku towarzystwo kobiet szczebiotało samo w gościnniej izbie a mężczyźni oddzielnie sformowali koło; ale po obiedzie mieszały się one z sobą a różne zabawy i pogadanki spoufalily młodzież. Już miał zrzęcnosć młody Brzozowski kilka razy przemówić do Zosi, dziewczyna odważyła się przemówić do niego słówek parę, i jak to między młodzieżą bywa zawsze, lada wesola myśl, lada uśmiech zbliża je z sobą, znajomi ściślej i. po chwili już się trzpiocą i śmieją i gwarzą jakby się znali od roku.

Biedny nasz porucznik ani się domyślał w jakie się płatał sieci, zaglądał w te ładne czarne oczy, ucałował razy parę białą rączkę, brał gitarę i śpiewał dla niej ukraińskie dumki, myślał nawet czasem, że już zranił serduszko dziewczęcia, a nie mógł

poznać jeszcze jak sam został zraniony, jak go będzie prześladować wszędzie ta czarnobrewka, jak mu potem spać nie da i zwiecznie te marzenia o wojnie i sławie, do jakich jedynie wzdychał dotąd. Wichrowski przeciwnie zostawał przez cały czas ponury, młomówny, zawsze z kąta izby wpatrywał się w Zosię i aż się mienił ze złości, widząc jej swobodę i przyjaźne spojrzenia, jakimi obdarzała Brzozowskiego. Był on rubaszny, nawet gruby w towarzystwie, a teraz jakby oniemiał lub zgłupiał. Podczas obiadu pił dużo, a wieczorem już mu się iskrzyły oczy i gorzały li-ca. Na zapytania odcinał tak grubo, iż te kozackie popisywania się wobec kobiet zwróciły uwagę przytomnych. Zmiledzano mu raz, drugi, trzeci, ale gdy gęba nie czuła hamulca, rządcą przechylając swoim zwyczajem głowę ku ramieniowi, rzekł doń pocichu:

— Panie Wichrowski! u was na Kozaczyźnie może to i uchodzi, ale u nas proszę być grzeczniejszym i uszanować dom, w którym jesteś.

Wichrowski zmarszczył brwi, spojrzał przenikliwie na rządcę, i, jakby opamiętawszy się, zaczął chodzić z kąta w kąt po izbie, zamotując na palec długie swe czarne wąsy i nie odzywając się do nikogo.

— A to jakaś małoruska świnia!—rzekł Żytkiewicz do Broniszewskiego półgłosem: *kruto zamiszennyj!*

— Warto by go nauczyć, jak się powinien zachować w cudzym domu...—odpowiedział zcicha Broniszewski.

— Funt tego — o! — dodał rachmistrz:—Z sukni pan, z gęby kuchta! jabym go tu prędko nauczył chodzić po linijce.

Gdy takie czyniono uwagi, tymczasem Wichrowski, stanawszy na progu izby, zawinął ręce i wpatrzył się nieruchomie w jakiś przedmiot, znajdujący się w drugim pokoju. Tym przedmiotem jego wytężonej uwagi była Zosia, która, w tę chwilę odosobniewszy się od towarzystwa kobiet, siedziała sama jedna wprost przeciwko drzwi, w których stał Wichrowski. Czy marzyła o czemś, czy zatęskniła do czego, dość, że rączki złożyła na kolanach, pochyliła główkę, spuściła oczy i była jak owa lilia wodna nad szklaną powierzchnią spokojnego stawu. Wichrowski patrzył na nią jak w tęczę; ale nagle potem potarł czoło, obrócił się do mężczyzn i rzekł, szukając oczyma Żytkiewicza:

— Krot' joho matir, harnu doczku majesz!

Żytkiewicz, hamując oburzenie, odcedził z flegmą, nie patrząc nawet na Wichrowskiego:

— Nie dla psa kowbasa, nie dla kota salo....

— Słuchaj-no lasze!—rzekł Wichrowski siadając obok i biorąc się w boki.—Ot niedługo myśląc, po kozacku, przyśle do ciebie swatów; czy wydasz swoją czarnobrewkę? w złocie i srebrze wodzić ją będę, a tobie gębę zasypię czerwieńcami, tykoż wydasz, a nie dmij się tatu, bo.... — I zamilkł jakby się opamiętał.

Żytkiewicz powstał, wziął tabakierkę i, pstrykając palcem po niej, rzekł pomalu ale wzruszony:

— Bo co... zięciu?...

Tymczasem szlachta obstała ich dokoła w milczeniu.

— Bo... nic, teściu—odciał Wichrowski.—Pojadę drugiej szukać między lachami, a tobie zaśpiewam na wyjezdnie:

Czortby paryw, waszu matir, z takimi bat'kami,  
Nie dajete doczok za miż—lubit' że ich sami!

— A ja tobie odśpiewam—rzekł Żytkiewicz.

Po durnowu żenichawsia,  
Jed'-że durniu, z widkil wziawsia;  
Chot' ty briażeczysz kapszukom,  
Ale smerdysz muzykom.

Szlachta w śmiech, a Wichrowski porwał się z miejsca, i, pelen złości, mówił, bijąc kulakami o stół:

— Obaczymy! obaczymy lasze, czy tak będzie.

— A jakże może być inaczej? — odezwał się rządca.

— Co się waszeci roi? funt tego — o! — dodał rachmistrz.

— Nie masz hamulca w gębie!—krzyczał Broniszewski.—Zalaleś ślepie i pleciesz jak na mękach. Fe, wstydz się asan, to nie po szlachecku. Żebyś się tak popisał w Korsuniu, toby koledzy moi dobrze ci natarli uszu.

Wichrowski, stojąc wobec tak hałasującego towarzystwa, mierzył tego to owego przeszywającym wzrokiem, w miarę jak który powstawał nań zawzięciej. Żyły mu na czole nabrzękły, wargi trzęsły się, oblicze przybierało wyraz okropny...

Możeby bójką skończyła się ta scena, gdyby rozważniejszy od innych Żytkiewicz nie wmówił, ażeby zaprzestano kłótni i, że pijanemu należy dać pokój. Szlachta więc rozsadowiła się po kątach izby, a za stołem pozostał sam Wichrowski, sapiący, gniewny, ale milczący. Po chwili powstał on z miejsca i, zbliżywszy się do rządcy, wziął go za rękę i rzekł:

— No, wybacz mi gospodarzu! ta czartowska nalewka zakręciła mi głowę... Dobra nalewka—nie ma co mówić! ale już przeszło...—A obracając się do gości, dodał: — Nie dmijcie się lachy, nie gniewajcie się! gościa złem słowem nie wyprowadzają z domu, bo mówią, że może wrócić dyablem, a kto wie jak się stanie? A ty stary, nie dróż się swoim kurczęciem, bo pieczone najczęściej szulak chwyta.

Rządca odezwał się:

— My, panie bracie, nikogo złem słowem nie wyprowadzamy z domu, a tembardziej gościa; tylkoż żądamy, aby gość uszanował dom, w którym się znajduje. Waszmość takie nam prawileś rzeczy, które przystałyby ledwie jakiemu hajdamace, co to z lotrami, podobnymi sobie, przepędził gdzieś w burzanach, jak zwierzę, całe życie.

— Dam ja tobie hajdamaków, pokręcona ty głowo!—mruknął pod nosem Wichrowski; lecz, przybierając wnetże spokojność, dodał głośnie:—ehe, wasza cha-ta, wasza prawda! ja, prosty kozak, wzrosłem w stepach... ehe, ehe, po waszemu nie umiem, dalibóg nie umiem! na kulaki—a to co innego! z kim zechcecie,

choć zaraz...—I tak mówiąc, kołysał głową, patrząc ciągle w ziemię.

Na zrobione wezwanie wyrwał się Broniszewski.

— U nas waszmość nie znajdziesz takich rycerzy, co się biją na kulaki i buławy; ale jeśli łaska przejechać się za Hulajpole, to tam możesz spędzić ochotę.

— Musiałeś waszmość zaprobować tej juszki, kiedy ci tak w pamięci — odciął Wichrowski.

— O nasiekłem, jak kapusty, tego łajdactwa! Jak pojedziesz, zapytaj Mamaja.

— Któż to ten Mamaj, proszę waszmości?

— Hajdamaka, który szuka postronka, bo szubienica gotowa. Miałem go już bestyę raz w rękę, ale mi się wymknął.

Na te słowa Wichrowski podniósł głowę, wytrzeszczył oczy i z niewyraźną mocą wlepił je w oblicze Broniszewskiego. Tak patrzył chwilę, jakby coś chciał przypomnieć z tej twarzy, ale potem roześmiał się i rzekł:

— Jakże to było? proszę nam opowiedzieć, bo to rzecz ciekawa.

— Hm... jak było? zwyczajnie jak ze złodziejami. Czy to z nimi można stoczyć rycerską walkę! Dwa lata temu, napadliśmy w karczmie pod Olszaną, jak grabili żydów. Nas było dwudziestu, a ich pewnie dwa razy więcej. Kazalem obstąpić karczmę, a sam we drzwi. Zaraz poznałem tego watażkę. Wąsata psiawiara, plecy jak u kata i nóż w rękę; siedział

pośród izby na kufrze. Ja go cap za czuprynę i krzyczę: dajcie tu powrozów! Hultajstwo w nogi, nasi w drzwi i tu powstało takie zamieszanie, że ani szablą ani strzelbą nie począć nie można. „Puść mnie dziadeczku! puść hołubczyku!” prosi się szelma, ale to zupełnie, jak chłop pod różgami: „póki życia, mówię, nie będę”. A potem jak czyrknie raptem nożem i odciął czuprynę przy samej mojej ręce, schwycił mi z głowy kaszkiet, nałożył na swoją i jak drapnął, tak ani sposobu... Calej mojej wygranej, żem złapał kilkunastu hultajów i Mamajowi dałem w papę...

Z dzikiem, nieopisanem wrażeniem słuchał Wichrowski Broniszewskiego i jak gadzina, to się ścigał, to rozszerzał cały; lecz na ostatnie słowa porwał się jakby go kto polał ukropem i, uderzywszy kuliakiem o stół, krzyknął:

— Łziesz, biesów synu! tam ciebie nie było! i taka parszywa ręka, jak twoja, jeszcze nie doczekała bić Mamaja po pyskach!

I pierś jego wzdeła się od gniewu, lica gorzały, zdało się, że urósł we dwoje. Broniszewski najeżył się jak kot przed brytanem, dobył pałasza i krzyczał:

— Ty mi śmiesz zadawać kłamstwo, przybłądo, jakiś tam chamie, świnopasie, tabuniku! ja... ciebie nauczę!

Szulc, Żytkiewicz i Poletyło poskoczyli przed Broniszewskiego i krzyczeli przez stół do Wichrowskiego:

— Opamiętaj się, szalony człowieku, bo dalipan nie wyjdiesz ztąd cało!

A rządeca uciekł do alkierza i, wystawiwszy głowę przezedrzwi, szypiał:

— Uspokójecie ich! pogódźcie! a to kara boska z tym człowiekiem!

Przestraszone kobiety zamknęły drzwi od swego pokoju, słowem wszczął się powszechny rozruch a Wichrowski, nie zważając już na nic, mając za sobą ścianę a przed sobą stół, stał groźny jak chmura i krzyczał, tłukąc kulakiem po stole:

— Ja jego, szelmę, za dławię jak kurczę! On bił Mamaja po pyskach? co tobie roi się?

— Ale zkąd ci przyszło bronić tego hajdamakę? — pytali razem wszyscy. — Co to, brat twój, czy swat, czy przyjaciel?

— Co wam do tego! — krzyczał Wichrowski — ale on łze! on tam, nie był!

— Jakże ty wiesz, że nie był? — krzyknęli dziwieni i spojrzeli po sobie a dziwny domysł przebiegł im po głowach.

— Juźciż wiem, kiedy mówię! Tam był towarzysz Czachurski; ale to jego trzymał Mamaj za łeb, nie on Mamaja i Czachurski palnął go w bok rękojeścią od szabli. Ale Czachurski to był dąb nie człowiek. Złamawszy szablę, porwał on jednego hajdamakę i walił nim po głowach jak kijem... A to żal się Boże! taka gnida i on mógł bić Mamaja? Toż Mamaj w jednej ręce zdusiłby cię tak, że nie pozostałoby żadnej całej kosteczki! I żyłasta pięść jego zwinęła się konwulsyjnie na stole.

Wichrowski mówił z tak silnem przekonaniem, iż Broniszewski zmieszał się i na wyświecone fakta

odpowiadał dość tępo. Ci, co go bronili przed chwilą, umilkli, zapewne pod wpływem rycerskiego honoru, gardzącego tchórzem i kłamcą.

Żytkiewicz odezwał się:

— Panie towarzyszu! mów: czy prawda to, czy kłamstwo? bo my za prawdę gotowi cię bronić do upadłego, ale za kłamstwo wybaczą.

— Idź waść tamtędy! — rzekł Szulc, wypychając go do kobiecej izby; — nie o tem mówić trzeba teraz, funt tego — o!

Broniszewski niby się opierał, ale wreszcie uległ namowom i, ciągle odgrządzając się na Wichrowskiego, wyszedł z izby.

Z za drzwi słyhać było jeszcze, jak stukał kulakiem o odzwierok i wołał:

— Ja nauczę tego hebesa! nie ujdzie rąk moich! jutro na pałasze—szelma jestem!

Tymczasem pozostali przystąpili do Wichrowskiego i, otoczywszy stół do koła, zapytali:

— Zostaw waszmość spory; zgadzamy się zresztą, że masz słuszość i Broniszewski zmyśla; ale powiedz-no nam, kto ty sam jesteś, co tak dobrze znasz Mamaja?

Wichrowski błysnął, jak wilk, oczyma i rzekł:

— Kto jestem? Ług mój ojciec, a Sicz moja matka! Ja ten, który nalatuje jak piorun a niknie jak błyskawica! — I zaledwie to wymówił, oparł na stół żylaste pięści, wyskoczył nań w okamgnieniu i wypadł z izby.

Wszystko to było dziełem jednej chwili. Rządca wyskoczył z alkierza i, biegnąc pomiędzy osłupiałymi widzami tej sceny, wołał:

— Gwałtu! gwałtu! to był Mamaj! sam Mamaj! a my go wypuściliśmy!

Broniszewski wypadł ze drzwi drugich od kobiet i, machając szerpetyną, krzychał:

— Gdzie ten szelma! ten hajdamaka! ja go nauczę moresu... Czemu mi wtedy nie pozwoliliście płaćnąć go przez łeb—ot i macie teraz!

— Co tu robić—mówili wszyscy.—Zapewne on jeszcze jest w karczmie — posłać tam kozaków, może go schwycą.

— Nie samych kozaków — rzekł Żytkiewicz— idźmy wraz z nimi. Kozaków on zwiedzie lub zbije; ale broń zabierzmy z sobą.

I wnet wszyscy wpadli do alkierza, gdzie na ściankach wisiały rusznice i pistolety. Każdy uzbroidł się i nabrał ładunków w kieszenie, a Broniszewski wypadł pierwszy i krzychał, otwartszy drzwi, do sieni:

— Hej kozaki! lude! warta!

Nagle rozległ się wystrzał i Broniszewski runął na ziemię, trafiony kulą w piersi—i w tejże chwili, jak woda na zerwane upusty, buchnął tłum ludzi we drzwi, w okamgnieniu napełniając izbę. Straszna to była tłuszcza! Lica ich ogorzałe, wzrok dziki i szukający mordów. Odzież rozmaita: jedni byli w koszulach i zasmolonych szarawarach, inni w żupanach, ci znowu w siermiągach, ten bez czapki z za-



kręconą za ucho czupryną, ów z szeroko rozwartą pazuchą świecił porośłą pierśią, wielu boso, inni w safianowych butach, ale w podartej koszuli, z której wisiały szmaty i obrzydliwą wykrywały nagość. Niektórzy mieli kontusze z wylotami zawieszzone na zupełnie nagiem ciele, a ponad głowami tego straszliwego tłumu widniało kilka kozackich z oseledcami czapek i jeżył się las strzelb, pałaszy, włóczni i kijów. Szlachta zaledwie miała czas wpaść do alkierza i zamknąć drzwi za sobą. Przez drzwi drugie wciągniono kobiety, które krzyczały w niebogłosy, załamywały ręce i mdlały co moment.

Był to chaos trudny do opisania. Najśmielsi potracili głowy i nie wiedzieli co począć. Jeden Żytkiewicz jakby wyolbrzymiał i huknął:

— Bracia! zatarasować drzwi i bronić się do ostatniego. Przedajmy drogo życie nasze i naszych... — tu wskazał ręką na kobiety i wzrok jego padł na Zosię, bladą, drżącą, z rozplecioną kosą, która, przy ogólnym popłochu schwyciwszy ze ściany obraz, padła na kolana, tuliła go do ust i krzyczała nieswoim głosem:

— Ratuj nas, Matko Najświętsza!...

Żytkiewiczowi lzy bryznęły z oczu.

— Chamy! — ryknął, aż zadrżały szyby u okien i zabrzęczał pałasz od konwulsyjnego ścisnienia rękojeści. I, jakby nadludzką ożywioną siłą, porywał komody, stoły, kanapy i parł je ku drzwiom. A tymczasem z drugiej strony podważone silnemi barkami drzwi zaczynały pękać we wrzeczidłach

i lada moment miał nastąpić wyłom. Jego mężstwo ożywiło wszystkich. Nie strach, nie rozpacz, ale niema zajadłość ścisnęła ich usta. Szule wyteżyl szerokie ramiona i opierał się, jak mógł, parciu z przeciwniej strony. Wspierał go najenergiczniejszy Brzozowski. Kilka palców wychyliło się przez szparę i Brzozowski zgniótł je na miążgę kulakiem; kilka włóczni wytknięto i połamał je w kawałki. Ryknęła zajadła tłuszczą i połowa jej wypadła na podwórze. Widocznem było, że postanowiono wdrzeć się przez okna.

Żytkiewicz rozkazał wnet kobietom pousiadać w kątach, mężczyźni rozstawił przy oknach z pałaszami i zagaszył świecę. Zaledwie od kilku uderzeń z brzękiem wyleciały szyby i kilka rąk oplotło ramy, gdy silne cięcia pałasza odbiły je i pokaleczyły zbójcy osunęli się na ziemię. Poczem zaraz zaczęto strzelać do okien, ciskać włócznie, buławy, nawet kłocę. Poletyło, wypatrzywszy moment, wysuwał garłacza i, zmierzyszy gdzie najgęściej kupił się motloch, kaleczył go grankulkami. Toż robił Żytkiewicz, a strzał jego zawsze był trafny, gdy kule hajdamaków grzęzły w ściany, nie raniąc nikogo. Dotąd nie mogli poznać obłączeni, czy był i gdzie Mamaj, ale gdy atak do okien pozostawał bez skutku, gdy wściekła banda po każdym odporze wyla przekleństwo i groźbą i już krzyczano, aby dom podpalić—nagle zagrzmiął donośny głos watażki:

— Baby biesowe! Pięciu lachów nie możecie dostać rękoma!—I, stanąwszy na szczeblu od drabi-

ny, znajdującej się tuż przy oknie, krzyknął: — Lachy, poddajcie się, bo jeśli dostanę was siłą, wyrznię co do duszy, baby nie zostawię na rozplód!

Po tłuszczy jakby kto powiał milczeniem, tak była ciekawą odpowiedzi.

Już młody Brzozowski porwał gwintówkę i biegł odpowiedzieć wystrzałem, gdy Żytkiewicz zatrzymał go za rękę i, wychyliwszy ubieloną starością głowę, odezwał się w ukraińskim języku:

— Panie Mamaju i wy siromy holtiopaki, a czy pozwolicie wnieść słowo wam do uszu?

— Mów—rzekł Mamaj. — Mów! — krzyknęła tłuszcza.

— Ale cur nie strzelać aż skończę. Usłuchacie mej rady — dobrze; a nie—jak sobie chcecie.

— Mów, nie będziemy strzelać — wołali hajdamaki.

Żytkiewicz natenczas wgramolił się najspokojniej na okno, dobył rozek z tabaką, wysypał dobrą szczyptę na paznokieć, wciągnął ją uroczyście do nosa i rzekł:

— Ot teraz można przystąpić, do rozmowy. Jak tam będzie, to będzie, a będzie, jak Pan Bóg da! Wszak prawda, panowie młodycy? Może ja wywalę języka pod obuchem, może wy nakiwacie piętami i nam i Mosznom i zalopoczecie na bagna i błota, zkaąd was wyrzygnęła dzisiaj nieczysta siła. Grzeszni jesteście ludzie i tylko jeden Pan Bóg wie jak będzie—otóż tymczasem spasybi wam i za tę jedną łaskę.

— Za jaką?—zapytało kilku.

— A ot, żem choć raz jeden niuchnął za waszem pozwoleniem tabaki. Mnie staremu niuch jeden, to jak wam gołnąć kwartę wódki. A z czubu aż ciecze... Ale nie o to tu chodzi. Powiedzcie mi, panowie młodycy, jakiego wy dyabła chcecie od nas? Czego drzecie się w okna, z przeproszeniem, jak wściekle koty? Pomyślałbym, że chcecie wódki, ależ wam oczy przecie nie powylaziły i widzicie sami, że to nie karczma? Pomyślałbym jeszcze, że pieniędzy? ależ sami wiecie dobrze, że co było w skarbcu, toście już zabrali, a przy nas dyabeł nie ma ani grosza. Jak was czart wyniesie ztąd, jak przyniósł, a biesów żyd nie poborguje, to nie będzie za co kupić ani czarki... Żeby tu zaraz Niemcem został potrzykroć, jeśli w tem co mówię choć na makowe ziarno jest fałszu! I łaż, z przeproszeniem, jak te durne owieczki przez przełaz, co to byle jedna skoczyła, za nią wszystkie, a nie stało wam oleju pomyśleć: i dla jakiego ja czarta doprawdy drę się na ścianę, jakby najadłszy się blekotu? Tu, kruty ne werter, a nihde prawdy dity! Przyszliście nie w goście, ale po pieniądze i odzież, bo u was dyabli mają i tego i drugiego. A wszakże widzę jak jesteście postrojoni, mnie przecie nie powylaziły... u tego kat ma czapki, u tamtego buty, a inny, jeśli by zdjął koszulę, zjadłby dyabła, żeby ją potrafił wdziać napowrót... bierzcież tedy sobie to wszystko, bo, jak powiadają, wasza siła—wasza prawda; taj z Bogiem, a nas nie turbuje.

— Za cóż wy nas kaleczycie? — odezwał się jeden.

— A żebyś się ty oprażył, wraży synu! — rzekł Żytkiewicz—jakiś ty durny! Czegóż chcesz jeszcze; żebyś lał w okno po moją głowę, a ja ciebie podszedził? A cobyś ty sam robił na mojem miejscu? Ludzie dobrzy i wy, gromado! sądzicie sami tę sprawę. Jaż wami gwarzę, a tymczasem krwią u mnie zalewa się serce... Czyż widzieliście kiedy człowieka, któryby swoich nie bronił ruchomości? Była u nas chudobka, była odzież, było kilka groszy majątku... gorzko a ciężko pracował człowiek przez całe życie, nim zebrał się na tę lichotę... Ileż to on nie dospał nocy, jakże się pobijał, jeździł, dbał o wszystko! Niechaj, myślał sobie, przydbam, będzie zaczął spocząć na starość, żeby nie chodźć z torbą i będzie może z czego dać wyprawę dzieciom, ażeby nie puścić ich między ludzi boso i goło i żeby nie mówiły złe języki: „wypędził własne dziecko jak psa z podwórza...“ I oto taki siroma uzbierał sobie przy pomocy Boskiej, aż tu Bóg za jego grzechy, nasyła mu złych ludzi, którzy mu jednej godziny zabierają to wszystko... I zostaje mu tylko jedno dziecko, jego szczęście, jego cała radość i pociecha w tem życiu... Ale zły człowiek chce mu wydrzeć i ten skarb ostatni, bez którego onby sam żyć nie zechciał. Dla złego człowieka na co mu moje dziecko, krew moja? a dla mnie to cała pociecha i całe dziś szczęście. I czegóż tu dziwować się, że on go broni, że zastawia je sobą, jak ta biedna kaczką w oczerecie, co to wylatuje i wabi

strzelca i sama nadstawia życie własne, ażeby tylko go odwabić od nich. Ot taka to, panowie młodcy, doła teraz nasza! Nie lajcie nas, że bronim się, bo my tem spełniamy zakon Boży; a choć położymy tu głowy nasze, to Bóg miłosierny zgotuje nam żywot wieczny na tamtym świecie.

I stary, zasłoniwszy twarz ręką, zaszlochał. Maj spuścił głowę i milczał, a tłum już nie odpowiedział groźbami, ale szeptał o czemś pomiędzy sobą. Jeden nawet z bandy, chłopiec w sile wieku, przystojny, barczysty, wysłuchawszy z uwagą Żytkiewicza, zarzucił na ramię janczarkę i rzekł:

— Do ładu ty mówisz, stary, jak pop czyta z książki—Bóg z tobą!

— Oj sokole mój! nie czytam ja z książki ani z głowy — rzekł Żytkiewicz—ale to tak serce mówi przezemnie. Jak byłem w twoim wieku, tom ani wiedział o tem, co dziś zawsze stoi mi na myśli! I parobek był ze mnie nie byle jaki; lecz bieda mię zmogła, smutek mię dziś wysuszył! Pobijałem się jeszcze jako-tako, ale gdy mi Bóg odebrał syna, co gdzieś jak do wody wpadł w Śmile lat temu trzynaście, od tego czasu zupełnie opuściłem ręce. Teraz jestem jak klacz co u tutejszego djaka: szczo ubjesz, to ujedesz. Dalibóg, panowie moło cy, ot tak nieraz oczorcieje życie, że gdyby nie żonka i nie dziecko, tobym jeszcze dziś ruszył na Zaporozie. Ale ba! doli koniem nie objedziesz—to urznę czasem z horia ośmucę—skrzepię serce, taj leżę, wybałuszywszy oczy, nim przejdzie zła planeta.

Żytkiewicz znał doskonale ukraiński język i lud, do którego przemawiał. Jego otwartość, jego żarćki, puszczone wobec położenia, w jakim się znajdował, trafiły do przekonania tłuszczy i zmiękczały ich serca.

— Biesów jego czortów lach—mówili — dobrze się bije a jeszcze lepiej mówi. Panie Mamaju, zostawmy ich, niechaj im dit'ko. Ale wtem przybyła nowa zgraja, która zmieniła stan rzeczy.

Byli to więźniowie, wypuszczeni przez hajdamaków z kordegardy, którzy, uzbroiwszy się w dragi, ziejąc zemstą, biegli rozliczyć się, jak mówili z rządcą.

— A gdzie ten krzywogłówek, psiawiara! — krzyczeli — co nas wodzi jak psów w łańcuchach! Wydawajcie-no nam jego i jego żonkę, co to narzuca naszym babom motki! nie, nie doczekasz więcej! A no, panie Żytkiewiczu, ciągnij-no ich tutaj!

Żytkiewicz pod ten czas z krwią najzimniejszą zażywał tabakę i milczał, a gdy uspokoił się motłoch, odezwał się:

— Zdorowy były! słychem słuchaty, w wiczy wydaty; czy po woli, czy po niewoli?

— Ponewoli Lasze! dawaj nam rządcę — krzyknął jakiś oberwaniec, podsuwając się najbliżej.

— Ouwa! jakiś ty prędk! —

— Wydawaj psiawiaro, bo i tobie dostanie się!

— A durniu ty durniu! — rzekł Żytkiewicz. —

Nie umiesz odezwać się do ludzi, a chcesz im rozkazywać. Na biedę przyszło Mamajowi, kiedy takie

świnopasy robią przy nim co zechcą! Czy wy jego, panie Mamaju, doprawdy zrobili watażką?

— Czart wie zkąd się nabrała ta hołota— rzekł Mamaj.

— A widzisz!—odparł Żytkiewicz. — Ot i wyszło na moje, że ci brak piątej klepki w głowie. Cóż tu za fanaberya, żebyś rozkazywał? Co ty masz do rządcy? powiedz pierwej a potem jak gromada osądzi, to i wydam.

— A za co on nas trzymał w kajdanach, za co nas siekł różgami?

— Na selo duryty, Hryciu nieboże. Ot jakbyś tak zaczął brechać przed nimi, a mnie tu nie było, pomysleliby, że prawda i zgubiliby człowieka, Bóg wie za co. A za co to on ciebie okuł, hołubczyku? Boś ukradł u popa krowę i sprzedał ją w Czerkasach jak swoją. A za co to on dał tobie przed karczmą pięćdziesiąt? Boś otworzył bez klucza monasterski młynek i jak mielnik pozabierałeś rozmiar, któryś potem przepił u żyda na Majdanówce.

— Ona na żony nasze ponarzucała duże talki!— wrzeszczeli inni.

— Łżecie ludzie dobzi! niech to was nie obraża że tak mówię—odparł Żytkiewicz.—A żeby i tak było, to któż za nitkę gubi duszę? A jak wy przepijecie ostainią koszulę w szynku, to nic, a jak wam każą naprząć zbyt ni poczynek, to zaraz do noża? A czyż to u nas tylko przędą talki i robią płót na? to na całem świecie! Nie za nas stało, nie za nas przestanie! Bo, jak to mówią: wowk dere kozu, a koza

lozu, a lozu czort. Ty wraży synu, cudze widzisz pod lasem, a swego nie widzisz pod nosem. Jak dopadłeś buławy, a widzisz, że za plecyma jest pomoc, — to ty zuch; a tego nie pamiętasz, jak ciebie żydzi bili w Międzyrzeczu na jarmarku? Co to za kozak? Takich ja dostanę siedmiu za jedną cebulę!

— Czy doprawdy bito cię Hryćku na jarmarku? — zapytali niektórzy z bandy Mamaja.

Hryćko poskrobał się w głowę i rzekł zakłopotany:

— Biłem ja i ich dobrze...

— Ouwa!—odezwał się jakiś brodaty hajdamaka—to brzydko. W naszym towarzystwie, jeszcze Bóg uchował, takich onuczek niema.

— Ale to jeszcze pół biedy. To gorsza panowie młodecy, że on jadł prosięcinę w Pilipówkę.

Na to wyznanie powstał szmer powszechny.

— Kto? on? nie pościł w Pilipówkę? Ach ty heretyku jeden! łacinniku! katoliku!

I w tymże momencie posypały się nań rżęsno kulaki. Hryćko widząc, że to nie przelewki, kopnął się z całej siły i znikł w wiszniowym sadzie, który tuż był przy domu.

Wtenczas powstał Mamaj, rozesłał bandę po okolicznych domach, rozkazując im pakować zdobycz na konie i wozy i po chwili, gdy z całej tej zgrai nie nie pozostało ani duszy, rzekł do Żytkiewicza.

— A co lasze? wyłgałeś się przed moimi chłopcami, teraz mnie wysłuchaj.

— I owszem—odparł Żytkiewicz — byłeś z dobrem szedł słowem.

— Jak tam sobie uważasz: ze złem czy z dobrem — odpowiedział Mamaj — oddaj mi swoją dziewczkę.

— Oj—hoj!—westchnął Żytkiewicz—nie z tego nie będzie.

— A ja mówię, że będzie—rzekł rozbójnik i pogroził kulakiem.

— Dalibóg nie dam.

— Ej póżalujesz!

— Ha! raz maty rodyła, raz umiraty. Pierwej mnie zamordujesz Mamaju, a potem już jak da Pan Bóg!... Ale żebym ja, póki żyw, oddał dobrowolnie moje dziecko jedyne hajdamace, zaprzepścił jego młodość, nie, tego nie będzie!— a, dodał z oburzeniem, —dalibóg tak nie będzie Mamaju! Czyż ty myślisz, że jabym sam temu mojemu dziecku nie odciął pierwiej u progu głowy, niżbym go miał wydać na grzech taki?...

— A ja ci powiadam — rzekł Mamaj — że i ciebie diabli nie wezmą i twoja dziewczka taki będzie moja! obaczysz biesów lasze! wspomnisz moje słowo!—I grożąc mu pięścią, odchodził.

Żytkiewicz patrzył nań w milczeniu, lzy mu zakręciły się w oczach i odezwał się:

— Ej Mamaju, opamiętaj się! opamiętaj się póki czas jeszcze! Czyż ty myślisz, że ta krew niewinna, którą przelewasz, nie woła tam o pomstę do Boga. Nie Bóg to ci dał prawo wydzierania życia, które ros

nie dał, ale czart ciągnie cię od zbrodni na zbrodnię!

Mamaj zatrzymał się, pomyślał chwilę i rzekł:

— Późno już lasze! to darmo! Trzeba takiego jak ty durnia, żeby to mówił a ja byłbym drugim, że-bym cię posłuchał. Ale wiesz co, zamieniamy się?

— Czem?—odrzekł zdziwiony Żytkiewicz.

— Ja ci oddam syna twego, jeśli mi dasz córkę.

— Matko Niebieska!—krzyknął Żytkiewicz, zalamując ręce.—Mój syn u ciebie! o Boże! Boże! za co mię tak karzesz?

I pochwyciwszy twarz w dłonie, zwiesił głowę na piersi i w głos zaszlochtał.

Smutny to był płacz starca! Z tych chryplych łkań, dobywała się zboląła dusza, a oczy jakby krwią nie łzami cieć miały. Nagle odjął dłonie, przetarł oczy i szukając wzrokiem postaci Mamaja, krzyczał doń rozpaczliwym głosem:

— Mamaju, serce, hołubczyku! wróć się — dobij mnie — zrób mi tę ostatnią przysługę a Bóg ci przebaczy!...

Mamaj widział tę boleść starca i ze ściśnionemi ustami, nawiesiwszy czarne, rżesne brwi nad oczy, patrzył w niego jak w tęczę. Potem znikł nagle w cieniach nocy, jak przepada zły duch, zaprowadziwszy w oblęd podróżnika.

Tymczasem dzieło rabunku i zniszczenia w szerokie wybuchnęło rozmiary. Rozsypane bandy bez oporu napadały na domy, grabiły je, a gdzieby najmniej stawiono opór, dołączały mordy. Że w owe czasy był na Ukrainie powszechny zwyczaj zakopy-

wania pieniędzy, więc mało kto z zamożniejszych mieszkańców nie uległ męczarniom, któremi zmuszano ich do wykrycia skarbów. Tłuszcza bezbożna nie przepuściła cerkwiom nawet. Słowem, w przeciągu kilku godzin, domy były ograbione, mieszkańce wygnani, a krzyki, płacz, jęki po całym rozlegały się mieście. Przebudzeni wieśniacy biegli na rynek, skupiali się w tłumy i z przerażeniem śledzili zbójców a pomimo, że zbiegło się ich dużo, nikt nie odważył się stawić im oporu, zasłonić ginących... kilka palących się karczem oświecało jaskrawą luną ten obraz, którego połowa mniej straszliwa pogrążona była w cieniach nocy. Zabrane rzeczy i pieniądze znoszono ze wszech stron na rynek i składano na wozy. Już cały ten obóz gotów był ruszyć z miejsca, gdy na spienionym koniu zleciał Mamaj. Straszny on był jak burzliwa chmura... skinął rękę uzbrojoną w nabaj i wnetże cały szereg wozów pociągnął drogę ku Dnieprowi. Lecz nie wszyscy hajdamacy stanęli w gotowości do wyjścia. Za pogorzelskimi zrabowanych domów i karczem, wielu z tych hultajów uctowało w najlepsze, bili się między sobą lub zabawiali męceniem żydźt. Przebiegł tamtędy watażka i najajem pedził ich przed sobą do obozu. Gdy nakoniec rynek pozostał pustym i tylko snuł się tłum ludu, gwarzącego głucho pomiędzy sobą, nagle wpadł do środka ich Mamaj i osadziwszy konia tak odezwał się:

— Ludzie dobrzy! dziękuję wam za ugoszczenie! Teraz, spodziewam się popamiętacie ruski miesiąc Mamaja! Dobrze wam tak, wraże syny. Myśleliście

już za Smilą nie znajdę was nigdy? że was obroni milicya i gubernator? Pokłońcie się odemnie tym durniom i powiedźcie, że będę do nich znowu w goście. Dam ja wam nie tak jeszcze!... Chodźcie co rok po sól, po rybę, handlujecie z Siczą, zarabiacie u nas pieniądze i mierzycie czapkami karbowanice, a żaden szelma nie zajrzał do mnie choćby ze zwyczaju z ratcem i palanicą? Cóż to: nie słyszeliście nigdy w stepach o Mamaju? czyż nie wiedzieliście kto panuje nad Ingulem i Subakleją? że ani jednej parowicy nie przepuściłbym, jeśli bym zechciał? Ale gdzie tam! wiecie wy dobrze wszystko, ale myśleliście: co nam watażka ten? mamy świadectwo od gubernatora do Koszowego i naczelników Serbskich i ani go znać chcemy!... Ja was nauczę, biesowe dzieci, dodał, potrząsając nahajem nad tłumem. Kramarze! świniopasy! lichwiarze! pijawki chrzczonego ludu! wy do niczego! Umiecie tylko przystroić się w nowy żupan, w safianowe buty, siwą barankową czapkę nasunąć na osłe uszy, w monista i dukacze poubierać swe baby — i tak chodzić po ucztach, po bankietach. A parobcy? dodał, przedrzeźniając ich ruchy, — wielki jak dąb, a jak noc, każdy głupi! Je szelma za czterech, a w robocie wyręcza się najmytem. Na wieczornice do Horpyny, na doświtki do Paraski, — to gotów! do pazuchy wie drogę, a do Siczy żaden psiawiara ani uchem nie mrugnie. A jak się upije to szczenie, to zaraz czapkę na bakier i krzyczy: ja kozak! Zaporoziec! Jaki ty, durniu, Zaporoziec? ty na podeszwę nie zdałbyś się dla Zaporozca! onucza a nie kozak!

Wszystko to Mamaj mówił grzmiącym głosem, który do martwej bezwładności przyprowadził słuchaczy. Pozdejmovano czapki i słuchano go w zupełnem ucieszeniu, a na kim zatrzymywał się groźny wzrok watażki, ten bladł jak ściana.

— Słuchajcież co wam powiem, dodał po chwili, nie pogardzajcie Koszem i poznawajcie się z nami, bo niech nie będę Mamajem, jeśli was na szydło i rzemyk nie sprowadzę! A kto prawdziwy kozak, w kim gra krew mołojca, kto chce zarobić na sławę kozaczeńka, nie tu za piecem i nie przed babami, ale tam, u nas — za Tilikulem, ten niech zaraz po Ś. Jerzym rusza do nas? Cóż lepiej: czy gęsi pasać na lewadzcie, albo w piecach palić u żydów, czy służyć w Koszu?

I nie czekając odpowiedzi, skrzył konia na miejscu, zaciął go nahajem i ruszył z kopyta.

Opowiem teraz jakim sposobem dokonany został ów napad. Mamaj przyptął do przystani Sokirnej na bajdakach. Tam w zaroślach dniewrowego ługu skrył statki, a sam w kilka koni przybył do Moszen. — Stanąwszy w karczmie na rynku, opowiedział się ciekawemu żydowstwu, że jest szlacheicem Wichrowskim i prowadzi na sprzedaż kilkadziesiąt koni do Korsunia, Łysianki, Hulajpola. Kozakom zaś swoim rozkazał zahulać wieczorem przed karczmą i spoić straż miejscową. O zmroku przez bagna Olchowczyka mieli podstąpić skrycie pozostali kozacy i następnie nasamprzód otoczyć dom rządcy, właśnie w tę samą parę, gdy on tam znajdować się będzie. Stało się zupełnie tak, jak rozporządził Mamaj, i gdy te

pokłóciwszy się z Broniszewskim, wypadł do sieni, już banda jego otoczyła dom i czeladź powiązała co do duszy.

Nazajutrz po opisanym napadzie, kiedy mieszkańce po dniu obejrżeli dzieło zniszczenia, Moszny przedstawiały ruiną i pustkowiem. Dotlewały jeszcze karczmy i domy, leżały na gruzach trupy, ściany świeciły pobitemi oknami, na rynku — po obejściach wały się domowe sprzęty, wyły psy i załamując ręce, lkając przeraźliwie, wałęsały się kobiety. Biedny proboszcz padł pod nożem zbójców, a dom Żytkiewicza, jak wiele innych, świecił rudorą i pustkowiem.

Cóż działo się z Zosią? Biedna dziewczyna co jeszcze wczoraj pogodnem czolem, wesolem okiem, zachwycała wszystkich, po okropnej nocy zapadła w gorączkę i leżała w domu rządcy ze spalonymi ustami, obłąkanym wzrokiem, płomienną twarzą. I pozostałe kobiety były albo chore, albo tak opadłe na siłach, tak zmieszane wypadkiem, iż wzajemnej pomocy nieśże nie mogły.

Żytkiewicz tak dotąd przytomny, odważny, od otrzymania okropnej wiadomości o synu z ust Mamaja, chodził jak nie swój, był jak zwarzony. Poletyło osiodłał konia i udał się do Czerkas z wiadomością o zdarzonym napadzie i z prośbą o pomoc; rządca bojaźliwie wyglądał przez okna, obawiając się wyjść na miasto, i Szulc tylko z Brzozowskim krzątali się przytomniej. Tymczasem Moszny z każdym dniem oczyszczały się z ruder i pogorzeliisk. Ludzie jak mrówki zaczęli się krzątać na zburzonym mrówisku, lepić

domki, znosić sprzęty, chować pobitych. Nastąpiły dni pogodne i ciepłe. Trawy, zieloność, kwiecie pokryły wszystko, i Moszny znów wyglądały jak wianek z łona lasów. Każdy dzień dopełniał lub odmieniał cudne obrazki natury. Naleciały ptaki, drzewa zakwitły i pooblewały jakby mlekiem rozdoły, gdzie były sady. Ukraina rosła ku słońcu, stroiła się jak dziewczę do ślubu, Wszystko powoli wchodziło w dawne karby—pogorzeliiska odbudowały się. Kwiatkiewicz ujął sprężyscie naruszoną władzę, Poletyło samowładnie panował nad lasem, Szulc po dawnemu zaprowadzał rejestra i rachunki, jednego tylko brakło Broniszewskiego, i jeden tylko domek stał dotąd opuszczony, zrujnowany, z oknami zabitemi deskami i rozwalonym plotem. Ale gdy tak wszyscy pod wpływem wiosny powracali do dawnego życia i zatrudnień, jeden tylko Żytkiewicz, uwielbiany, podziwiany od wszystkich, nie podzielał ogólnej spokojności, był zawsze milczący i zamyślony. Wyjeżdżał on parę razy z Brzozowskim, dokąd? niewiadomo—potem wyjechał młody Brzozowski, i nie wrócił, a nareszcie jednej nocy znikł i Żytkiewicz z żoną i córką.

Dokąd wyjechał? nikt w Mosznach nie wiedział. Stary bywalec znał dobrze przebiegłość hajdamaków i przewidywał, że Mamaj, nie chcąc wydzierać gwałtem córki z objęć ojca, wykraść ją postanowił. Dla watażki, mającego taką władzę, środki i szpiegów, nic nad to nie było łatwiejszego. Owóż, zabezpieczając się od nowego wypadku, Żytkiewicz zemknął, ale tak,



że o ucieczce jego nikt nie wiedział, ani mógł powziąć żadnego śladu.

Ale nas interesują losy tej ładnej dziewczynki; o słicznych jej, pełnych wyrazu i uczucia oczach, o zachwycającym rysunku twarzy, o giętkich formach postaci—mieliśmy niedawno sposobność powziąć ideę z wnuczki — tak dziś kwitnącej, jak ona kwitła niegdyś—a więc śledźmy ją bodajby przez najczarniejsze bory,—bodajby nas, jak rusalka, miała gdzieś zaprowadzić w topiele.

Cóż postanowił stary? Oto razu jednego, późno już wieczorem, gdy Moszny spały i tylko w sadach zalewały się śpiewem słowiki i tylko księżyc bawił się z chmurami na szczycie błękitu, niby rycerz to rozwijając to znowu zwijając fałdy płaszcza, to spuszczać to podnosząc przyłbicę, Żytkiewicz rozkazał żonie i córce przebrać się po chłopsku, sam narzucił na ramiona świtę, na uszy nacisnął kozacką czapkę, zaprzęgił do wózka parę koni i wyjechał z niemi precz z miasteczka. Jechał naprzód przez bory na monasterski młyn, co na Irdyniu, potem przebierał się manowcami przez step Ruskopolański i jeszcze świtać nie zaczęło, gdy zbliżył się do pisarskiej grobli, na Taśminie. Tu droga stała się nierówną, pełną wybojów, posiadali więc wszyscy i szli piechotą. Przebywszy groblę, skierowali się na prawo i już świtem przejechali Hulajgród, a z tamtąd znowu zawrócili na lewo i zagłębili się w lasy po ledwo wydeptanej drożynie. Przez cały czas tej nocnej podróży nigdzie żywej nie spotkali duszy.

Żytkiewicz był milczący, staruszka szeptała pacierze, a Zosia w świtce, w białej wyszywanej koszuli ze wstążkami, trzepoczącemi się u głowy i monistami na szyi, z wyrazem ciekawości w oczach i zachwyceniem w piersi, wpatrywała się w obrazki nocnej natury, przeglądała z trwogą tajemniczą przydrożne sosny, słuchała z zajęciem szelestu traw i kwiecica pod kołami toczącego się wózka, to znowu zadumana bujała po gwiazdzistym niebie.

A że to młodej głowie jak Zosina, tysiąc zawsze marzy się obrazków, to nie raz dziwiąc się swemu przeistoczeniu, opierała bródkę na łonie i przypatrując się rysunkowi własnego biustu, myślała: żebym też ja od w tym ubiorze pokazała się kiedy u rządcy?... oto byłoby śmiechu... Ciozia zarazby krzyknęła: fe! chłopka aspanna!... A Szulc zarazby w koperczaki!... Ale doprawdy, że w tych wstążkach musi mnie być do twarzy?... Moja Hanna jakby mię obaczyła teraz, jak mamcie kocham, nie poznałaby!... ot tak przeszłaby bliźniutko i przywitała się jak z cudzą... A żebym to ja poszła na ulicę?... Parobcy hurmem za dziewczyną... z kąd ona? z Kumejek... moja cioteczna siostra... przyszła w goście na święta... a Hanno hołubko, uciekajmy ztąd, bo jak dowie się mama!... Idę sobie i śpiewam... Hrycia? nie, nie Hrycia—śpiewam sobie... Oj tam na kozi, tam stały malari.—Malowały, rysowały, bile lyczko mini!...—aż tu brzęk, brzęk...—idzie...—kto idzie? (roześmiała się i zakryła twarz rączką). Hanno duszko, ja schowam się za ciebie... Jak się masz Hanno?—Zdorowi były. A czy

pan w domu? W domu.— A panna?— W domu...—  
aj... A to co za dziewczyna z tobą? Moja cioteczna  
siostra... Hańdzia...—nie—nie Hańdzia, Marusia...—  
tak lepiej...—aj...—patrzy mi się w oczy i chce za-  
trzymać się...—umrę jak tylko dotknie się... paniezu  
het!...—odczepcie się!... Kto to był Hanno duszko?—  
Alboż panna nie zna, oto ładnie! Brzozowski!...

Te swawolne marzenia rozkołysały młodą głó-  
wkę do tego stopnia, iż doprawdy przywidziało się  
dziewczęciu, że ją spotkał młody Brzozowski; zaczer-  
wieniła się więc jak pons, a oczy ledwie nie bryzgnęły  
łzami... Lecz jakież było jej zdziwienie, gdy odsła-  
niając twarzyczkę, zakrytą obiema rączkami, postrze-  
gła istotnie Brzozowskiego przed sobą!...

Zkądże się tu wziął Brzozowski?—zapytacie.  
Stary Żytkiewicz długo myślał nad tem gdzieby skryć  
Zosię? Na Wołyń odwozić jej nie chciał—to za dale-  
ko ciągnąć się z kobietami do miasta pogranicznego,  
któregokolwiek z pogranicznych, równie nie zgłaszał  
się, będąc tego przekonania, że zabezpieczając dzie-  
wczynę od hajdamaków, narazi ją na wiele innych  
niebezpieczeństw, nie tak może strasznych, lecz nie-  
mniej oplakanych w skutkach.

W ogólności Żytkiewicz nie podzielał zdania  
tych rodziców, którzy dorosłe córeczki rozwożą po  
bankietach, jarmarkach, odpustach, ażeby do wszyst-  
kich przechodzących szczyrzyły ząbki. Stary rozu-  
miał, że jak zabrzęczy trzosem, to chłopcy Bóg wie  
zkąd, jak dobre gończaki, zwietrzają zdobycz; a jak oba-  
czą Zosię—to wybredzać nie będą, bo także niemniej

warta, jak złoto. Więc przypomniał sobie starego  
Brzozowskiego, który już od kilku lat mieszka samo-  
tny w nadtaśmińskim futorze, znał jego pustelniczą  
ustroń i wiedział, że tam tylko zaglądały ptaki i ho-  
dują się pszczoły, a nikt z ludzi drogi do jego futora  
nawet nie zna, — otóż postanowił na czas jakiś tam  
odwieść babę swoją i córkę, a że myśli swej zwierzy  
się młodemu towarzyszowi, którego pokochał jak sy-  
na, wiemy tedy z kąd tak wypadło, iż wśród tych glu-  
chych lasów spotkała Zosia Brzozowskiego.

Żeby Zosia tak zamarzyła gdzieś samotna i po-  
tem nagle, jak w tej chwili, zjawił się przed nią Brzo-  
zowski, to już nie wiem doprawdy czy by nie zgorzała  
od zmieszania i wstydu; szczęściem jednak pomogła  
jej obecność rodziców i nim się on powitał, a rozmó-  
wił z nimi, ona tymczasem miała czas ochłonąć co-  
kolwiek i zebrać rozproszone myśli. Więc oboje Ży-  
tkiewiczowstwo i Zosia posiadali z wózka i już szli  
razem do futora. Ale cóż to się działo z biednym  
chłopcem, ile razy spojrzał on na Zosię!... Jakże ona  
ładną była w jego oczach w tym ukraińskim ubiorze!  
Ile razy zbliżał się do niej i zaczynał rozmowę, tyle-  
kroć zapominał się do tego stopnia, że już Zosia po-  
strzegła to zmieszanie i śmiać się z niego zaczęła ser-  
decznie. Przyszli nakoniec do futora. Był to sad  
duży, na pochyłości góry, otoczony, jak murem, zie-  
loną ścianą lasu. Biała, długa chata, pokryta  
trzcina, stała przy wjeździe; w głębi widniały lic-  
ne szeregi ulów, a bzy, róże i kalina rozkwitały przed

oknami dokoła. Od progu chaty rozbiegały się dwa sznureczki udeptanych ścieżek; jedna ginęła pod konarami drzew owocowych w głębi sadu; druga u dołu w łożach, któredy chodzono do krynicy. Jakże się ta ustron podobała dziewczynie! Jak tu wszystko było ładnie, a cicho i czysto i zielono, niby domek przystrojony umyślnie na Zielone święta! Jak tylko zaszczekały psy, zaraz wyszedł stary Brzozowski zupełnie jak pasiecznik ukraiński, o białych włosach, długiej brodzie, w płóciennej koszuli, przetykanej do koła pazuchy czerwoną nicią i, powitawszy gości, zaprowadził ich do świetlicy.

Oboje Żytkiewiczowstwo znali oddawna starego Brzozowskiego, lecz nie w tym stanie jak dzisiaj. Był on rodem z Wielkopolski, pochodził z zamożnej rodziny i młodość swą spędził w Warszawie, gdzie lat kilkanaście służył wojskowo towarzyszem znaku pancernego. Ale gdy król częściej przesiadywał w Dreźnie, niż w Warszawie, a minister Brühl wicherzył Polską i ujadł się z panami, Brzozowski zniechęcił sobie Warszawę i pragnąc czynniejsze prowadzić życie, prosił o zaliczenie go do poczty, komenderującego się na Ukrainę, chociaż z rejestru kolej na niego nie wypadła. Tu wałęsał się po okolicznych miastach, a choć po dawnemu było przykro mu, przynajmniej kontent był z tego, że marsze i wojna urozmaicały mu życie. A gdy następowała zima, zwykle zjeżdżał do Śmiły i tu z leśniczym szlachcicem Bujalskim, zwołanym myśliwym, całe dni przepędzał na łowach. Ten Bujalski był to dziwaczny charakter człowieka.

Dobry, rozsądny, przyjacielski, ale dopóki trzeźwy. Jeden Brzozowski miał nad nim przewagę, lecz i ten, nie mogąc dłużej znosić brzydkich skutków nałogu przyjaciela, które od niejakiego czasu, bez widocznej przyczyny, przybrały niebezpieczny charakter, przeniósł się na koniec na mieszkanie do osobnego domu. A miał Bujalski w domu swym siostrzenicę Jadwisię, sierotę, dziewczynę natenczas lat osiemnastu, którą wychował od dzieciństwa, ubogą, potulną ale ładną. Otóż razu jednego, podczas nocy, stuka ktoś do okienic Brzozowskiego i woła o ratunek. Była to owa sierota, której jak tylko otworzył drzwi Brzozowski, wpadła do izby zmieniona, blada, zalewając się łzami, w podartej odzieży, z rozpuszczonemi włosy. Brzozowski domyślił się zaraz, że Bujalski musiał się upić i, swoim zwyczajem, awanturuje w domu; ale jakże został zdziwiony, gdy biedna dziewczyna upadła mu do nóg, błagając, ażeby ją zasłonił od napaści wuja, który oddawna goreje ku niej występłą miłością i pijany, zagraża śmiercią, jeśli się opierać będzie dłużej. Jeszcze nie skończyła wyznania, gdy w tem otwarły się drzwi gwałtownie i Bujalski z obłąkanym wzrokiem, z fuzyą w ręku, wpadł do izby. Postrzegłszy dziewczynę, leżącą u stóp Brzozowskiego, przywidziało się nieszczęśliwemu, że on jest jego rywalem i zemsta wściekła zaślepiała w nim przytomność do reszty. Na szczęście wystrzał był chybiony, ale Bujalski padł bez zmysłów na ziemię i od tego czasu stracił już je na zawsze. W cierpieniach szaleństwa żył

jeszcze blisko rok, a biedne dziewczę pozostało nako-  
niec samo na świecie, bez opieki i sposobu do życia.

Od tego wypadku, który tak dziwnie wplątał się w losy Brzozowskiego, datują się i jego cierpienia. Nie poczuwając się bynajmniej do winy, nie kochając nigdy miłością kochanka biednej sieroty, nie mógł on wszakże patrzeć bez współczucia na jej obecne położenie i postanowił się zająć jej losem. Kupił więc dla niej dworek w Śmile, ogłosił ile daje posagu i starał się ją wydać za mąż. Zamiarom tego szlachetnego człowieka odpowiadało jedynie życzenie najszczerzejsze uszczęśliwienia sieroty, ale ludzie nie tak sądzili o tem. Urosły baśnie, zniesławiające dziewczynę. Mówiono, że ta chytra istotka służyła za przedmiot miłości dla obydwóch, że oszukiwała ich kolejno i, że wskutek wykrycia miłosnych jej stosunków z Brzozowskim, nastąpiła nakoniec owa okropna scena w domu Brzozowskiego, która razem zgotowała oplakaną śmierć leśniczego. Tylko zbrodniami splamiono czoło niewinnej Jadwisi, że opieka Brzozowskiego nie tylko jej pomódz nie mogła, ale owszem utwierdzała wszystkich w powziętem mniemaniu. Jeden tylko Brzozowski nie wiedział o niczem i zdziwił się, czemu nikt z okolicznej szlachty nie stara się o jej rękę.

Zdarzyło się, iż Brzozowski dla interesów familijnych wyjechał do Polski. Sierota żegnała go ze łzami, prosiła, żeby o niej nie zapomniiał, on, który jedyną pociechę, jedynem jej szczęściem pozostał na świecie! Tęskno było Brzozowskiemu, gdy opuszczał Ukrainę i pierwszy raz uczuł, jak był przywiązany do

sieroty. Ale gdy znalazł się w kole familijnem, nie mógł nie spostrzedz, że go wszyscy krewni powitali zimno. Jakież było jego zdziwienie, gdy nakoniec, w ogólnem ich zebraniu, zaczęto mu wymawiać, że rzuca zakalę naród ich, dotąd nieposzlakowany w cnotach, zawiązawszy występne stosunki z jakąś tam rozpustnicą...

Brzozowski o ile szlachetny, o tyle był popędliwy i zrażający się. Na oskarżenie, które przejęło go oburzeniem najwyższem, wybuchnął gniewem, zbezsztal wszystkich, zerwał ostatecznie z familią, i ani chcąc więcej mówić z nikim, sprzedał swoje dobra i wyjechał napowrót na Ukrainę. Ale i tu nie mógł spotykać obojętnie ludzi, którzy tak podle targnęli się na jego i sieroty sławę. Widział zawiązaną na wieki jej przyszłość, widział niestartą plamę, którą naznaczono niewinne czoło dziewczyny — i to go bolało okrutnie. Skutkiem tej walki wewnętrznej, było ostateczne odosobnienie się od świata i pogarda ludźmi. Nakoniec rzekł sobie: sprawdzę ich potwarz, ale uszczęśliwię sierotę i ten czyn powróci mi szczęście i spokój, których już nie znajduję na świecie!... Pójdźmy, oniesławiona, biedna dziewczyno, przed ołtarz Boga, gdzie zaprzysięgę ci miłość, o którą posądzali mię ludzie!...

Wnet po ślubie Brzozowski kupił wioskę w Bokusławczyźnie i przeniósł się do niej na mieszkanie.

Jak to zwykle bywa z sądem ludzkim, znaleźli się później tacy, którzy zaprzeczyli rozsianym plotkom i dawali to poznać Brzozowskiemu w nadziei,

że pogodzi się ze światem, ale on tak się czuł szczęśliwym w swem odosobnieniu, tak był spokojny na duszy i zadowolony ze szlachetnego czynu, że ani chciał słyszeć o tem. Po piętnastu latach umarła mu żona, a pozostał syn. Stary oddał go do szkół, potem do wojska, a sam znudziwszy się światem do reszty, odprzedał wioskę, i oto już rok piąty mieszka w tym pustelniczym futorze, gdzie go poznaliśmy dzisiaj.

Życie starego Brzozowskiego było wiadomem i Zosi z opowiadania ojca. Z podwójnym więc zajęciem patrzyła ona na pustelnika i na jego siedzibę, po której oprowadzał ją młody Brzozowski. Jakże ona tego pamiętnego dnia była wesołą i szczęśliwą! jakże została uradowaną dowiedziawszy się, że z matką zostanie tu na miesiąc! gdy tymczasem ojciec, w towarzystwie młodego Brzozowskiego, pojedą gdzieś w stepy, na Zaporozę, szukać syna. Jeszczeż to Zosia, pamiętna przestróg ciotki i mamy, choć kochała młodego towarzysza, to w tak wielkim sekrecie, że bodaj czy rąbek własnej jej sukienki, drząc od wzruszenia na piersi, wiedział o tem; ale od czasu, jak ojciec pokochał go wyraźnie, jak zaczęła przy niej chwalić go mama, jak nakoniec przyjechali na futor do starego i tu dowiedziała się Zosia, że Stanisław postanowił koniecznie towarzyszyć jej ojcu, pomimo jego oporu i namowy, żeby pozostał w domu, i widziała, choć se kretnie, jak ojcu jej lzy zakręciły się w oczach i jak on ucałował go serdecznie w głowę, to już, pomyślała sobie w duchu: czemużbym ja nie miała dać poznać temu biednemu chłopcykowi, że go także kocham?

I czule jej serduszko tak się użalało nad nim, że ledwie nie zapłakała, myśląc: jaki też to on biedny! i co to on przezemnie wycierpieć musiał!...

A gdy rozeszli się do snu, po tym dniu, jednym z najszczęśliwszych w ich życiu, Zosia poddała się marzeniom i, zaręczam was, przemarzyła to wszystko, co nasz Bohdan podsłuchiwał przy krosienkach. Tak samo jechał do niej wojak, tak brzęczał ostrogą i szablą, tak się kłaniał, tak całował różyczkę we włosach... tak mu jej bronila ona, aż budziła się z tych marzeń, z sercem, które zaczynało bić silnie, jak z przestraszu, albo po swawoli...

A on? on marzył po swojemu. To całował rączkę dziewczyny, to leżał u nóg ojca, to muskał wąsik i oblicze przybierało dumny wyraz ciotecznego pana Paska:

Jeśli na wieki świat mi zawiąże,  
To się nasróżę—  
Dmuchnę mu pod nos: ej mości księżę!  
I w Zaporozę...

Nazajutrz, gdy się Stanisław ze starym Żytkiewiczem wybierali w drogę, Zosia była smutna i miała zapłakane oczy. Dobrze, że choć ojciec jedzie także, myślała w duchu, a to, jak mamę kocham, umarłabym ze wstydu, jeśliby poznano, że płakałam! Kogo żal pannie? Juźciż tatka! a to byłaby bieda: kogo żal pannie? Stasia!... a czuję, że płakałabym jak teraz... Gdy tak sobie dumiała w izdebce, a starzy krzżeli się po obejściu, wszedł Stanisław, a że biedny chłopiec nie

mniej się dreczył, bo kochał tak Zosię, że omal nie rozpadało się serce, więc oboje znalazłszy się sami, zmieszali się tembardziej i ani słowa przemówić do siebie nie mogli.

— Kiedyż pan Stanisław wyjeżdża?—zapytała nakoniec Zosia.

— Wieczorem, panno Zofio.

— Dokądże to jedziecie?

— Do Siczy zaporoskiej.

— Nie uwierzysz, panie Stanisławie, jak jestem niespokojną o was... ten straszny rozbójnik ciągle mi staje na myśli. Opiekuj się tam, panie Stanisławie, moim tatkiem... tylkoż i sam bądź ostrożny.

— Daję słowo panie Zofii, że, w razie potrzeby, życie moje położę za niego.

— Ach! na miłość boską, na co pan Stanisław tak się zaklina strasznie! Ja wierzę zupełnie; ale grzech wspominać takie słowa!

— Nie grzech, panno, Zofio, bo w takiej podróży może się zdarzyć wszystko. Ale przypuszczając, że mię zabiją, że gdzieś zginę w tych hajdamackich stepach, to i cóż potem? dodał patrząc na spuszczone oczy Zosi, trzy kukulki nawet nie przylecą na moją mogiłę, jak śpiewają chłopci w dumce, bo nie mam ani matki, ani siostrzyczki, ani kochanki...

Zosia spojrzała na Brzozowskiego oczami całemi we łzach, i nie mogąc ovladnąć wzruszeniem, spuściła je prędko ku ziemi a łzy eicze kapały na robotę, którą trzymała w ręce.

— Panna Zofia płacze...—rzekł zmieszany Stanisław.

Na to zapytanie, biedna dziewczyna już nie mogła pokonać siebie i, zakrywając chustką lice, zapłakała i rzekła:

— Bo też pan Stanisław, jak mamę kocham, Bóg wie co plecie! Wstydz się pan!--dodała, tupnąwszy nóżką. I płakała szczerze i dąsała się i nakoniec śmiać się zaczęła, choć łzy były w oczach.

— O, serce moje! o droga Zosiu moja! — rzekł Stanisław, klękając u jej kolan i całując jej rączkę.

— Co? co? serce? panie Stanisławie, co pan wygaduje? — krzyknęła, opamiętawszy się dziewczyna. Ale nasz rycerz był już pod wpływem uczuć i całując rączkę, mówił jak bez pamięci, — Serce, krzyszeczko! gwiazdko, słonko moje, koralu mój, kalineczko czerwona moja! nie gniewaj się na mnie...

Zosia drżała jak listek.—Wstydz się pan, szepotała, wstydz się pan! idź pan sobie, idź na miłość Boga!

— O nie, nie pójdę, aż powie mi panna Zofia czy mię kocha?

— Ale ja tego panu Stanisławowi nie powiem nigdy... i co to panu przyszło do głowy?

— Czemu?

— Oto pięknie! I pan Stanisław mię pyta: czemu? bo się zawstydzę... I mówiąc to, trzymała dłoń na oczach.

— O Zosiu! żebyś ty wiedziała co ja cierpię, to nie byłabyś tak okrutną!

Dziewczyna odjęła dłoń od oczu i spojrzała na Stanisława wzrokiem, który zdawał się badać głębię jego uczuć. Nie był to już wzrok trzpioczący się, ani wstydlivy, ale głęboka rzewność i zaduma patrzyły z pod dużych, czarnych jej rzęs.

— Panie Stanisławie — rzekła po chwili tonem łagodnym, pewnym, przegartując na czole jego włosy; — powiedz mi otwarcie, szczerze, zaboż się przedemną: czy doprawdy mię kochasz? czy tylko chcesz zgubić biedną dziewczynę? I co ja tobie zrobiłam złego?

— Zosi! niech mię Bóg ciężko skarże! niech jutra nie doczekam, jeśli...

— Cicho serce... — szepnęła Zosia i zawisła na jego ramieniu, ponsowa jak jabłuszko. — Stasiu mój drogi, ja ciebie kocham nad życie... I usta ich spoily się i dziewczyna, po raz pierwszy w życiu, była pod wpływem zapomnienia się.

Będziemyż powtarzać wszystkie wrażenia tego czystego, dziewiczego serca? Zaczernimy je tylko atramentem, wcielimy w martwe zgłoski i z obrazu, pełnego ognia i życia, wyjdzie parodia. Wyobraźcie sobie, moi kochani czytelnicy, tę dziewczynę taką śliczną, jak ja ją wyobraziłem sobie; wyobraźcie to uczucie tak silnem i świętem, jak być powinno, nadajcie i Zosi i temu uczuciu imiona swoich kochanek, i chwile własnych wzruszeń, otoczcie je wiosną i samotnością i dokończcie ten ustęp mojego opowiadania sami.

Będę wam powtarzał, iż Zosi i Stanisławowi od tej chwili światprzemienił się w oczach; że nie poznawa-

li ani ścian izdebki, ani futuru; że serca ich grały jakąś niezmierną harmonią i że nie przypuszczali, ażeby byli ludzie szczęśliwsi od nich. Zrozumie to każdy, kto kochał, ale kto kochał nie po dzisiejszemu, nie tą zimną miłością, na jaką patrzymy w salonach, ale tą czystą, ognistą, może śmiesznią dla obojętnego widza, lecz drogą dla poety i prostego serca.

Nakoniec po kilku sekretnych pożegnaniach kochanków, których wam opowiadać nie myślę, ze względu, że i przy najlepszem wtajemniczeniu się w owe momenta, nawet najdrobniejsza częśćka z owych przyjemności, dla naszego użytku oddzielać się nie da i że moglibyśmy, kochani czytelnicy, wyjść jak ów bajkarz, u którego na każdej uczcie po brodzie ciecze a nigdy w gębie nic.

Wyruszyli Żytkiewicz i młody Brzozowski w przeznaczoną drogę. A że w podróży przez stepy w owe czasy niebezpiecznie było występować strojno, więc zwykły ubiór zmienili na kozacki. Przywdziali żupany i barankowe czapki, flinty pozawieszali przez ramię, ponarzucali tatarskie burki, a do troków uwiązali torby z prowizją.

Tak jechali przez Medwedówkę, Subotowo, Czechryn, a trzeciego dnia byli już w stepach. Przejechawszy nową Serbię, skierowali się ku ujściom Bazawluka i już stepami Kudackiej; pałanki jechali do samej Siczy.

Zaporoże siedziało wówczas koszem przy rzece Podpilnej. Podczas podróży nie spotkał ich żaden wypadek, a chociaż spotykali tu i owdzie wałęsają-

cych się burlaków, to opowiadając się małorusinami, żadnej nie spotykali przeszkody. Nie mieli wprawdzie przewodników, ani piernacza, ale też uboga ich odzież i liche szkapy nie nęciły nikogo na zdobycz.

Zatrzymawszy się u wrót Siczowej, nazwanych basztą, postrzegli nasi podróżni kozaka, stojącego na straży ze spisą w rękę, a przed szalaszem, tuż przy wrotach, siedziało jeszcze kilku z fajkami w ustach.

Żytkiewicz zatrzymał się we wrotach i, uchyliwszy czapki, rzekł:

— Zdorow, kozacze!

— Zdorow! — odpowiedział strażnik, mierzząc ich spokojnem okiem:

— A gdzie wasz ataman basztowy?

— A tobie on na co?

— Żeby się opowiedzieć.

Kozak za całą odpowiedź spojrział na siedzących przy szalaszu i jeden z nich, otyły, pleczysty kozak, leżący na wojłoku przed drzwiami, w dobrze już wytartym żupanie, z ogoloną głową, na której czerniała, wijąca się jak pręga, czupryna, odezwał się, nie podnosząc z miejsca:

— Oś wiń, no mów, czego ci trzeba?

Żytkiewicz zsiadł z konia i oddał go Stanisławowi, a sam, przystępując do atamana i powitawszy go rzekł:

— A co, panie atamanie, jakby wasza łaska kazać mię przeprowadzić do pana pisarza Koszowego?

— A tyś co za ptaszek?—zapytał hetman.

— At, tak sobie, siroma, taj hody!—rzekł Żyt-

kiewicz.—Jak jadę, nie pytam o drogę, a przyjadę, zajeżdżam wprost we wrota. Jak zamierzę się, to i uderzę. Jak piję, to leję w gardło, nie za brodę. Na konia siadam od lewej strony i w dzień widzę jak w nocy.

— Fiu, fiu, nawiżemy!—rzekł, śmiejąc się ataman. — To jakiś gębaty wyrodek. No więc, czegoż ci trzeba?

— Co za dziwo!—odparł Żytkiewicz. — Czy wy blekoty najedliście się, czy co? Zaprowadźcie mię do pana pisarza Koszowego.

— A na co on tobie?

— Ja to wiem na co.

— A nam nie powiesz?

— Ot, tak jak nie powiem!—rzekł Żytkiewicz. Niemam coś ochoty, a przytem gardło mi zaschło od wiatru i trzeba je pierwej odwilżyć sywuchą.

— Jaremo!—zawołał ataman do kozaka siedzącego opodal z fajeczką, — odprowadź ich do pisarza, tak niechaj im did'ko.

Od wrót zaczęły się zabudowania Sicy. Był to plac duży, ostawiony dokoła budynkami różnej wielkości i szalaszami z tarcie, trzciny lub wojłoków. Każdy z tych większych budynków był miejscem zgromadzenia się kozaków, gdy dla ogólnych narad zazywani byli z pałanek.

Ile kureni, tyle było domów. W szalaszach zaś pomniejszych sprzedawano smołę, chleb, rzemień, ryby, wódkę i inne drobiazgi. W środku placu stała wysoka chorągiew z wyobrażeniem orła, a przy niej



chodził szyldwach, obok ustawionych szeregiem koltów, za pomocą których zwoływano zebranych kozaków, dla narad lub wysłuchania rozkazów hetmańskich. Wnet za kureniami, stały domki starszyny kozackiej, proste, niewielkie, różniące się od innych okiennicami pomalowanemi w rozmaite kolory. Gdy nasi podróżni zatrzymali się przed jednym z nich, który był mieszkaniem pisarza Artemy, przeprowadzający ich kozak zdjął czapkę, położył ją na ziemi u progu a sam wszedł do środka. Po chwili wyjrzał przez drzwi, kiwnął palcem na Żytkiewicza, a gdy ten wszedł do izby, tam go spotkał niski, krępy, o zawieszonym w pasie staruszek, w granatowym żupanie, litym opasany pasem.

— Zdorow buw, panie pisarzu!—rzekł Żytkiewicz, oddając pokłon i kładąc palnice na stole.

— Zdorowo buw! — odrzekł pisarz. A co nam powiecie?

— Wszystko dobre.

— A po dobrem.

— Kto jesteś?

— Ja jestem szlachcic polski Onufry Żytkiewicz. Jadę ze Śmielańszczyzny, a po co, to powie szczegółowiej ten oto papier,—rzekł, dostając z za pazuchy pakiet i wręczając go pisarzowi.

— Szlachcic? a więc proszę waszmości siadać,—odrzekł pisarz po polsku.—To od gubernatora Śmielańskiego—dodał, przeczytawszy adres. — Znamy się z nim, cóż on, zdrów?

— Zdrów i kazał się kłaniać panu pisarzowi najumiżeniej.

— Dziękujemy. Jakież macie interes?

— Przeczytacie, to się dowiecie.

— Waszmość nie znasz zapewne ustaw naszych, w przeciwnym razie wiedziałbyś, iż żaden papier nie może być czytany przezemnie samego. Odniosę go do pana Koszowego, tam przeczytamy i zrobimy, jak powie rada nasza.

— Nie wiedziałem tego i przepraszam—odrzekł Żytkiewicz. — Jaki już porządek macie przepisany, według tego postąpicie. Wy to już wiecie, a mnie do tego zaś. Moja rzecz zanieść prośbę i oddać pokłon.

I nareszcie rozpowiedział szczegółowo, że przyjechał odszukać tu syna, jak się dowiedział od Mamaja, że on znajduje się na Siczy, a w końcu dodał:

— Panie pisarzu, Artemi Bazylewiczu! jak to powiadają: kruty, werty, a nikde prawdy dity. Wiemy przecie, choć nie mieszkamy z wami, że wasz tu rozum rządzi wszystkim i że bez waszej rady nic się nie robi. Dopomóżcie mi, a ojcem rodzonym nazywać was będę!—I to rzekłszy, pokłonił się mu znów i, wy dobywszy zwitek karbowańców z zanadrza, położył go na stole.

Pisarz potarł czuba i zaczął rozpytywać się o szczegółach najmniejszych, towarzyszących napadowi Mamaja na Moszny, a gdy się Żytkiewicz wyśpowiadał ze wszystkiego, rzekł nareszcie zdziwiony:

— I to już wszystko?

— A wszystko, więcej nie wiem,—odpowiedział Żytkiewicz.

— Ouwa, panie bracie, troszkę trudna sprawa. U nas 38 kureni, a każdy gdzieś w stepach lub na ostrowach, a chłopcy albo przy tabunach, albo zajmują się rybołówstwem, więc prędzej odzyskasz igłę w wozie siana, niż syna, nie wiedząc, w którym on liczy się kureniu.

— Wiem to dobrze, panie Artemi Bazylewiczu—rzekł Żytkiewicz—że jak przyjdzie na mój głupi rozum, to nie dojdę ładu w niczem; a wy będziecie mi jak ojciec i radźcie.

Pisarz znowu potarł czuba.

— Obaczymy, obaczymy! — rzekł i, namotując wąsy na palec, kazał sobie powtórzyć znowu szeregóły, mogące rzucić pewne światło na rozwikłanie tajemnicy.—Już to prawdę mówiąc między nami, — dodał nakoniec cicho,—mybyśmy go odszukali i w susłej norze; ale nasi kurenni atamany jak gadziny sykają nam w oczy za to, że kozaków wydajemy z Kosza. Idźcież sobie z Bogiem i przenocujcie tu w którymkolwiek kureniu, albo u znajomego, jeżeli macie, tylkoż nie nie mówcie, po co przyjechaliście a jutro rano stawcie się przed Koszowym.

Żytkiewicz dopytał się do znanego sobie kozaka, Proskurki, który kiedyś w Śmile handlował smołą, a teraz osiadł w Siczy i założył kram drobiazgów i, przenocowawszy u niego, rano stawił się przed Koszowym.

Mieszkanie Koszowego nie różniło się niczem z powierzchwości od domów innej starszyny, wyjąwszy świetlicy, która przyozdobiona była w obrazy i kobierce.

Przed stajenką stało kilkanaście osiodlanych koni, uwiązanych do pik, wetkniętych w ziemię i tyłuż kozaków, w rozmaitych położeniach, siedziało lub leżało przy nich. Przed samemi zaś drzwiami Koszowego domu, jakiś podeszłego wieku kozak, w żółtych butach, bez zwierzchniej odzieży, umywał się, parskając silnie w dłonie, na które mu tatarczuk lał wodę z ogromnego naczynia.

— Zdorowo kozacze!—rzekł Żytkiewicz,—a czy doma baćko.

Stary kozak lypnął oczyma i ocierając wąsy, zapytał:

— A czego ci trzeba?

— Interes mam do pana Koszowego. Powiedzcie, że chcę się z nim widzieć.

— A ty zkąd?

— Ze Śmiły.

— Aaa... zaczekaj trochę, stary, — powiedział kozak, obcierając się ręcznikiem i huknął do stajennych kozaków:

— Hej kozaki! a poproście tu pana wojskowego sędziego, pana pisarza i assaulę.

I to powiedziawszy, wszedł do izby, a gdy po chwili Żytkiewicza wezwano do środka, postrzegł on nie bez zdziwienia, iż kozak, z którym rozmawiał

przededrzwiami, był ten sam Koszowy ataman, który już siedział na ławie za stołem, w żupanie, podpasany bogatym polskim paskiem.

Żytkiewicz znajomy obrzędów powitania, naj-samprzód przeżegnał się ku obrazom, następnie położył palanicę na stole i rzekł:

— Zdorowo buw, panie atamanie! kłaniam się wam z chlebem i solą.

— Spasybi z wami zdrowemi. Siadajcież — odpowiedział Koszowy, gdy Żytkiewicz chciał opowiedzieć interes z którym przybył.—Koszowy mu przerwał, mówiąc:

— Opowiecie nam wszystkim, jak zbierze się starszyzna na radę,—a tymczasem rozpytywał o gubernatorze Śmielańskim i napadzie Mamaja.

— Ja wiem—rzekł nakoniec,—że pan Dobrzański musi tam psy wieszać na nas za tych przeklętych hajdamaków; ale żeby mi tak Pan Bóg pozwolił doczekać jutra, jak prawdę mówię, że my ich tu ciągle karzem za te napady. Ale cóż poradzicie? Niema, jak to powiadają, rodu bez wyrodu. Kozaków u nas dużo, a między nimi są takie szalone głowy, że jak im niema zabawki z Tatarami, to ich czart ciągnie na rabunek.

Wtem wszedł sędzia, wojskowy pisarz i assaula. Powitawszy się z Koszowym i pokłoniwszy się Żytkiewiczowi, zasiedli oni ławą i Koszowy, wręczając list gubernatorski pisarzowi, zapytał:

— A co tam, panie Artemi Bazylewiczu, pisze do nas pan gubernator Śmielański?

Pisarz rozwinął papier i cały list przeczytał.

— Cóż zrobimy, panowie bracia? — rzekł znowu Koszowy.

I tu zaczęły się różne rady i wnioski, z których mógł wnioskować Żytkiewicz, że Koszowy trzymał się na uboczu, w miarę jak sędzia i assaula starali się przekonać Żytkiewicza, iż odszukanie syna jego jest dziś niepodobieństwem. Postrzegł nawet Żytkiewicz, iż assaula nieprzyjaznym okiem poglądał zawsze na niego i w końcu nawet rozkrzyczał się na pogranicznych gubernatorów polskich, że ich zasyłają rekwiizycjami i stąd tylko wywołują na nich oburzenie kozaków.

— Co my winni—wołał,—że nam ciągle nie dajecie spokoju? Już nieraz odpowiadaliśmy wam, że hajdamaki nie należą do nas. — Jak ich wieszacie i na pale wbijacie po drogach, to nie pytacie nas, czy można? A jak okradną kogo z Lachów, albo spalą karzmę, to zaraz z rekwiizycją do nas? Cóż to, czy Kosz nasz pokrywa ich, czy targuje z nimi na grosz jeden? Niedawno pan Suchodolski z Łysianki pisał do nas, żebyśmy mu powrócili pokradzioną u niego bieliznę? Alboż to Kosz przechowuje co oni nakradną? A potem Kozacy nasi krzyczą na nas, że wydajemy swoich i przetrząsamy ich pałanki. I wtem np. zdarzeniu: gdzież my znajdziemy twego syna? czy jeden u nas kureń? czy tylko dziesiątek Kozaków? Że Mamaj powiedział, to już ma być prawda, już trzeba przetrząść stepy od Kalmiusu aż do Bugu? Co to za napaść taka!!

Sędzia dodał:

— Pan gubernator grzecznie pisze, ale krzywdzi nas zawsze, bo liczy nas za jedno z Mamajem. Jeśli ten hajdamaka powiedział, że wie o twoim synu, to jeszcze nie dowód, żebyśmy także wiedzieli o nim.

I wszyscy rozdąsali się, ponachmurzyli czoła, skarżyli się na gubernatorów i łajali hajdamaków. Już Żytkiewicz chciał im powiedzieć słowa prawdy, widząc jak zły obrót bierze jego prośba i kłął w duchu pisarza, że siedzi jakoby wody nabrał do gęby, gdy wtem, po uciszeniu chwilowem, rzekł pisarz:

— Panowie bracia, wszystko to prawda, co mówicie, i nie może nam być przyjemnie, że nas w Polsce posadzają o jedno z łotrami, którzy żyją krzywdą cudzą. Wszakże trzeba być sprawiedliwym, a wtedy przyznamy, że cała wina spadnie na hajdamaków. Za cóż oni w Polsce publicznie na rynkach nazywają siebie Zaporozcami? Za cóż Mamaj namawia lud na Zaporozę? Czy Kosz upoważnił go do tego? My wiemy, że nie, ale jakże mogą wiedzieć o tem w Polsce? A jeśli będziem jeszcze odprawiać z niczem tych, którzy naszej proszą opieki, nie sprawdzimyż tych domysłów, że trzymamy ze złodziejami za jedno? Ale prośba pana Żytkiewicza jeszcze ważniejszej treści. On nie przychodzi do nas z wymówkami, nie chce odbierać kozackiego dobytku, on, biedny siroma, prosi nas ze łzami, ażebyśmy mu pomogli wynaleźć jego syna. On szuka go, serdeczny, wszędzie, gdzie coś o nim zasłyszysz i niech mu powiedzą, że syn

jego w niewoli Krymskiej, on i tam poniesie starą głowę, bodajby sam miał nie powrócić więcej. Za cóż my jego, panowie bracia, krzywdzić będziemy? Za cóż go wypchniemy z niczem, ażeby za progiem płakał na nas krwawymi łzami? będziesz [to po Bożemu, po chrześcijańsku? A jeśliby i odszukał syna, czyż to on z naszego towarzystwa pójdzie na szubienicę? Czy zgubimy przez to czyj żywot? Bynajmniej! Pocieszymy na starość tego starego, że do końca życia modli się za nas będzie.

To odezwanie się pisarza wpłynęło stanowczo na zdanie rady. Koszowy nasamprzód odezwał się:

— Ehe, ehe, tak będzie do ładu po Bożemu; trzeba pomódz staremu. Jeśli syn pana Żytkiewicza jest u nas, to on pewnie w Szczerbinowskim kureniu. Napiszcież, panie pisarzu do kurennego atamana, żeby rozpytał się starych kozaków o tym laszku i jeśli się znajdzie, niech go przysze natychmiast do Kosza. A wy tymczasem, panie Żytkiewiczu, zabawcie u nas w Siczy do jutra.

Ze łzami w oczach dziękował stary za ich pomoc, a najbardziej pisarzowi.

Wnet posłano kozaka z rozkazem do Szczerbinowskiego atamana, a gdy nazajutrz stawił się przed Koszowym Żytkiewicz, ten go spotkał temi słowy:

— No, panie Żytkiewiczu, zguba twoja odszukała się, ale nowa zdarzyła się karluczka. Nie będziesz ty, podobno, miał z niego pociechy. Puścił się on na ładaco. Pisze kurenni, że właśnie przed dwoma dniami złapał dwóch Zaporozców, którzy przed

rokiem jeszcze, bez pozwolenia wyszli z pałanki i, jak zeznali, grabili w Polsce z bandą Mamaja. Otóż, panie Żytkiewiczu, jeden z tych hultajów, nazywa się Paweł Lach, ma znak rodzinny na prawym ręku, zupełnie taki, o jakim zaświadcza nam pan Dobrzański i według zeznania starych kozaków, istotnie był przyprowadzony przez kramarza Zaporozkiego, Kuźmę Rosomachę, ze Śmiły. Tu on go ochrzcił i trzymał do lat 18-tu przy tabunach w Kulmińskiej pałance, a przed dwoma laty wpisał do rejestru Szczerbinowskich kozaków.

— Cóż teraz będzie? — zapytał błądy i drżący starzec.

— Ha, co rada powie, mój hołubczyku! — odpowiedział Koszowy.

A działa się to na dziedzińcu przed domem Koszowego.

Wkrótce przyszli znowu ciż sami ze starszyny i szeregiem usiedli na przyźbie. Żytkiewicz usiadł opodal i ukrywszy twarz w obie dłonie, ledwie mógł powstrzymać się od płaczu. Wtem stawiono przed starszynyą zbiegów. Byli to dwaj, silnej budowy, kozacy, ogorzali, zarośli, z wyrazem twarzy dzikim, o długich czuprynach, boso i za całą odzież mieli brudne, całe w szmatach, szarawary i koszule. Ręce ich były związane na tył, a końce od powrozów trzymał strażnicy, stojący obok nich z pikami i nahajkami.

Koszowy zapytał:

— Który z was Paweł Lach?

— Ja—odpowiedział jeden — i spojrzął z podełba na Koszowego.

— A czego ty bratiku uciekł z kurenia?

— Ot, tak, uciekł, taj hody! — burknął więzień.

— A gdzie ciebie did'ko nosił?

— Już gdzie nosił, to nosił, a teraz mnie tam niema, gdzie byłem.

— O, suczyj synu! jaż ciebie nauczę! A co panowie bracia — dodał, zwracając się do sędziego i innych—jak wy sądziecie?

I po chwili narady, odbytej półgłosem, gdy sprawdziły się badania o tożsamości więźnia, Koszowy rzekł:

— Panie Żytkiewiczu, przystąpcie tu bliżej. Znalazła się twoja zguba, bierz sobie jego k'czortu! Choć on wasz syn, ale nie warto było jechać po niego tak daleko. Dajże mu pamiętnego i od siebie i od nas.

— A no, zbliż się bratiku—dodał, zwracając się do więźnia. Widzisz tego lacha, to twój ojciec. Pokłoń-że jemu się i het, precz z Sieczy, żeby tu i kruk nie zaniósł twoich kości, bo jeśli wpadniesz drugi raz w nasze ręce, to źle będzie.

Biedny Żytkiewicz spodziewał się, iż w tej przynajmniej chwili, obudzone uczucia synowskie i widok ojca wzruszą w nim serce i on mu padnie do nóg, ze łzami żebrząc przebaczenia, obiecując poprawę; ale więzień nie ruszał się z miejsca i bezdusznym okiem strzelał po wszystkich, jak złapany susel.

— Durniu ty, durniu!—odezwał się Koszowy;—  
pokłoń-że się ojcju, wszak to twój ojciec?

— Kto, ten lach?—zapytał zimno hajdamaka.

— Ten sam, Żytkiewicz.

— Niechaj jemu czart!—burknął więzień.

Na te słowa oburzyli się wszyscy i Koszowy  
błysnął gniewnem okiem.

— Ouwa, bratiku, to ty taki? myż ciebie nau-  
czymy i posłusznego oddamy w ręce ojcowskie.

Wnet powstali wszyscy i zabierając laski, mó-  
wili do Koszowego:

— Bywajcie zdrowi, a nie zapominajcie o nas.

Pisarz, odchodząc, wziął za rękę Żytkiewicza  
i pociągnawszy za sobą szepnął:

— Chodźcie do mnie, panie Żytkiewiczu! nam  
tu niema czego pozostawać dłużej; da mu ład nasz  
ataman. A wy, panie assaulo, przyślijcie potem  
tego lasza do mnie.

Żytkiewicz, zgryziony, sam nie wiedząc co robi,  
powłókł się za pisarzem.

Skoro oddalili się wszyscy, Koszowy hu-  
knął:

— Stróże, a no, kijów!

Na ten rozkaz stanęło kilku oprawców a każdy  
z pękiem prętów łozowych.

Koszowy rzekł:

— A teraz połóż się bratku; my tu ciebie nau-  
czymy, jak to ty powinien słuchać starszych i szano-  
wać ojca.

— Wola wasza—odrzekł hajdamaka, i, ponagla-  
ny przez kozaków, położył się na ziemi.

Stróże usiedli po dwóch na głowie i nogach,  
a dwaj inni zaczęli go smagać prętami.

Paweł oparł się na łokciach i zacisnąwszy zęby,  
zniósł cierpliwie pięćdziesiąt kijów, nie wydawszy  
najmniejszego jęku.

— A co, będziesz teraz posłuszny? — zapytał  
ataman.

— Nie będę; wola wasza!

— A, taki ty, dajcież mu jeszcze!

Po dwudziestu pięciu, zapytał znowu:

— A będziesz?

— Nie będę!

— A no, chłopcy jeszcze zadajcie mu żaru, tyl-  
ko dobrego!

Gdy wyliczono sto, plecy więźnia pokryły się  
krwią, oblicze zaczęło blednąć i rzekł:

— Poczekajcie, nie bijcie; zmiłuj się bat'ku, ata-  
manie, tateczku mój, hołubczyku!

— A będziesz szanować starszych?

— Będę...

— I słuchać ojca?

— Będę...

— Ot tak należało z początku, wraży synu! —  
rzekł Koszowy.—Teraz odprowadźcie go do lacha, od-  
dajcie mu na ręce i powiedzcie panu pisarzowi, ażeby  
wziął kwit, że go oddano z Kosza.

Gdy stanęli przed mieszkaniem pisarza, Żytkie-  
wicz siedział na przyźbie z głową spuszczoną, smutny,

zamyślony. Kozacy opowiedzieli się przed nim, i stary, spojrzawszy na zbójcką postać syna, załamał ręce i łzy mu potoczyły się gradem.

— O synu mój!—zawołał boleśnie, — takiejże-to spodziewałem się z ciebie pociechy!

— Milcz tatu—burknął hajdamaka; — będę już słuchał, tylko mi nie ćwirkaj nad uszami i powiedz niech nie trzymają, jak psa na smyczy.

Tak dzikie obejście się hajdamaki wobec rozrzucających cierpień starca, wzruszyło straż nawet.

— Pokłoń się ojcu, ucałuj mu rękę — szeptałi kozacy, przynaglając go szturchanicami.

Paweł oglądał się, potem zbliżył się do Żytkiewicza i cmoknął go w rękę; ale w tym ruchu i powitaniu nie było śladu synowskiego uczucia.

— A co tatu — rzekł po chwili — może pojedziemy?

— Dobrze, pojedziemy... — odrzekł machinalnie stary i wlepiwszy weń wzrok rozpaczliwy, znowu załamał ręce i zapłakał.

— O synu mój!—zawołał, — jakże ty zaprzepaciłeś swoją młodość! wyrosłeś jak dzikie bydło bez wiary, bez serca. I tuż są ludzie, mój synu, co pamiętają o Bogu i chodzą do cerkwi. Czemuż ich nie naśladowałeś? Czemu nie mówileś pacierza i nie żyłeś uczciwie? Alboż myślisz, że Bóg pozwala rżnąć ludzi i zabierać im ich krwawicę? Alboż nie odpowiesz za każdą kroplę krwi i łez na strasznym sądzie Jego? I cóż ztąd, że cię znalazłem i zabiorę z sobą? Ja nie hajdamaka, mój synu, i życie u nas nie hajda-

mackie. My modlitwą a pracą dorabiamy się kawałka chleba, a nie krzywdą ludzką. Jakże ja ciebie pokażę między ludźmi? jakże pochwalę się tobą? Widzisz teraz na sobie, mój synu, że krzywdą ludzką nie bogaci się człowiek. Rozbijaleś i kradłeś, a nie mogłeś pokryć przed światem brzydkiej nagości ciała swego—i tylko duszę zaprzepaciłeś na wieki!...

Paweł milczał, wysłuchiwał słów ojca, zerkał tylko jak wilk, lub z podełba patrzył na Żytkiewicza.

Stary wpatrzył się w to ogorzałe oblicze i jakby czekał, jakby prosił o łzę z tych kamiennych oczu, coby mu odwilżyła piersi, lecz oprócz zimnej obojętności i bezdusznej jakiejś głupoty, nie dostrzegł w niej żadnego wzruszenia.

— I jakże synu będzie?—rzekł z westchnieniem.

— Pojedziemy—odbaknął hajdamaka, — a jeśli masz, lasze, pieniądze, to kup mi siodło i konia, bo u mnie, do czarta, niema ani grosza!

— Lasze?... — powtórzył Żytkiewicz z boleścią. — Czyż nie masz w swem sercu drugiego dla mnie nazwiska?

— Zapomniałem...—niech mię dyabli wezmą, zapomniałem...—wybaczenie, tatu! Tylko nie chmurzcie się i dajcie choć grzywnę na gorzałkę... Biesowe syny tak mię wyparzyli, że świerzbią całe plecy.

Stary Żytkiewicz o mało nie skończył z rozpaczą i nie wiedział co począć. Serce się wzdrygało na samą myśl, że takiego łotra przywiezie do domu i pokazuje matce, jakiego ma syna i córce, jakiego ma brata!... Jego zwierzęca dzikość i zupełna zatwardiałość

uczuc dawały słabą nadzieję, ażeby je można było choćby w późniejszym czasie oświecić i uszlachetnić. I Stanisław nie wiedział jak ma radzić. Bolał więc w milczeniu, patrząc na cierpienia ojca, a przewidując może okropniejsze... Pisarz kiwał głową i mówił: Szkoda, panie Żytkiewicz!—nie będziesz miał z niego pociechy, nie przyswoisz tego wilczka, bo on zaprawił już się na ścierwie.

Ale nie było nad czem rozmyślać długo i Żytkiewicz, zmartwiony, musiał zabrać z sobą odszukanego syna. Kupił dlań konia z rzędem, sprawił przyzwoitszą odzież i nazajutrz, opatrzony świadectwem Koszowego—wyjechał z Siczy. Przez cały dzień pierwszy i następny Paweł zdawał się być posłuszny, chociaż był ponury i milczący. Niechętnie jechał razem, lecz albo wyprzedzał Żytkiewicza i Stanisława, albo zostawał w tyle. Przed wieczorem zatrzymali się nasi podróżni przy jednej ziemlance w stepie, żeby dać wytchnąć koniom. Paweł poskrobał głowę i rzekł: —Tatu, daj mnie pieniędzy.

— Na co?

— Kupię wódki.

— Wypij sobie czarę, ale więcej nie trzeba.

— Co czarka?—głupstwo—mruknął Paweł—nie chcę i ust paskudzić! I gniewny usiadł na przyźbie. Ojciec udał, że nie zważa na gniew jego i, wytchnąwszy chwilę, puścił się ze Stanisławem w dalszą drogę. Paweł zaczął przesiadlywać konia i pozostał.

He razy obejrzeni się, widzieli, że Paweł stał

przed szynkiem. Ale wkrótce i Paweł i ziemlanka znikli im z oczu, następował zmrok a Pawła nie było.

Co tu począć?—Wracać po niego? daleko. Zostawić?—nie wypada. Postanowili więc zatrzymać się na nocleg w jarze, do którego przybyli. Już późno zleciał Paweł na zziąjanej szkapie, hajdamackie wyśpiewując dumy. Zapytany o przyczynę opóźnienia się, odbąknął hardo, nasadził biesów i czortów i, miotając się z koniem, okładając go nahajem, do późnej nocy spać im nie dał. Gdy podczas rozmowy zbliżył się do Żytkiewicza, wódkę mu z ust czuć było i biedny ojciec przekonał się wkrótce, że Paweł był pijany. Nic mu wszakże nie powiedział, ale nazajutrz postrzegł na nim czapkę starą i wytartą zamiast nowej, którą mu sprawił w Siczy. Wtenczas wymówił mu zamianę, lecz Paweł, nie tłumacząc się, pozostał sam znowu i, zasepiony, jechał opodal za nimi przez dzień cały. Ale, jakkolwiekby, jechali już bez przygody i trzeciego dnia stanęli na popas w ziemlance pod lasem Czuta. Był to las duży, leżący już w granicach nowej Serbii, zkaąd mil dziesięć najwięcej było do Śmiły. Stary, ślepy na jedno oko Serb, szynkował gorzałką i był jedyną żyjącą tu istotą. Izba, do której weszli nasi podróżni, była niska, ciemna, bez zedla i stołu. Wiązka siana, rzucona w jednym jej kącie, stanowiło łożę szynkarza. Żytkiewicz, znający dobrze niebezpieczeństwo miejsc tutejszych, chciał wyminąć tę karczemkę i popasać nad Brzegiem Ingulu; ale Paweł uparł się i, tłumacząc, że koń jego zmęczony, pozostał. Jednooki Serb zaczął



się przypatrywać wszystkim, ale najciekawsze spojrzenia ciskać na Pawła. Chrząkał, kaszłał, krzątał się tu i ówdzie, a tymczasem otarł się niby nie chcąc o niego i bąknął kilka niezrozumiałych wyrazów, na które Paweł równie nieznanemi odbelkotał. Po chwili Serb wyszedł na podwórze, nasunął czapkę i podniósł rękę do góry, jakby machnął nią na kogoś. Wtem od lasu pokazali się jacyś trzej ludzie—weszli do izby—poukładali się na sianie, dobyli z kieszeni lulki na króciutkich cybuszkach i zapaliwszy je, śledzili w milczeniu każdy ruch podróźnych. Potem zaczęli rozmawiać z szynkarzem po serbsku, czy po mołdawiańsku, wychodzili po kolei na podwórze, opatrywali konie naszych podróźnych i, powracając, znowu kładli się na sianie. Paweł nie mieszał się do rozmowy, ale w tak niezręczny sposób udawał, że ich nie zna, iż postępowaniem swoim tembardziej sprawdzał podejrzenia. Żytkiewicz więc mrugnął na Stanisława; gdy obaj wyszli do sieni, rzekł mu: — To jacyś podejrzani, szelmy!

— To hajdamaki — odpowiedział Stanisław. Trzeba nam mieć się na ostrożności. A Pawełek zdaje mi się, zna się z nimi doskonale.

— Bóg wie co mówisz! — odrzekł Żytkiewicz; przecież nie rozmawia z nimi. Tymczasem Stanisław przyłożył oko do szpary i po chwili skinął na Żytkiewicza, ażeby się zbliżył — i widzieli obaj jak Paweł, korzystając z ich nieobecności, wychylał czarke po czarce, podawane mu przez owych włóczęgów i opowiadał im o czemś prędko i pocichu, a nakoniec

położył palec na ustach, jakby nakazując wszystkim głębokie milczenie.

Żytkiewicz zamyslił się i, osnuwszy w myśli jakiś projekt, powrócił do izby niby wesoly, wdał się w gawędę z włóczęgami, rozpytywał ich o drogę, wymówił się, niby nie chcąc, któreśdy ma jechać, gdzie nocować zamierza, i, nie tracąc czasu, puścił się w drogę. Paweł, przedtem ponury i małomówny, stał się teraz rozmowny i wesoly; ale gdy ubiegli mil parę, Żytkiewicz wstrzymał się nagle na rozdrożu i, patrząc pilnie w oczy Pawelkowi, rzekł:—Rozmyśliłem się synu, już nie pojedę prosto, ale weźmiem się na lewo, na Cybulów.

Pawełek zmierzył ojca dużemi oczyma i zaczął wmawiać, że to zwrot niepotrzebny, że tamte szlaki pełne są hajdamaków i Czuta dla podróźnych nigdy nie była bezpieczną, odkąd Mamaj przesiadywał tam zaczął. Ale gdy widział, że stary namówić się nie daje, pogroził jakby na pewno, dodając, że o zagrożeniem im niebezpieczeństwie dowiedział się od owych hultajów, którzy byli w karczmie.

Żytkiewicz kiwał głową, pokręcał wężą i, z udanym śmiechem, jakby lekceważąc te strachy, rzekł:

— Co będzie to będzie, a będzie tak jak pan Bóg da.—Wstydz się synu bać się jak dziecko—takiż—to z ciebie kozak!—nie pierwszy raz będę z nimi krzesał szable, a wy także nie ułamki, Bogu dzięki. Takich jak my, trzech zuchów, opędzim się od dziesięciu i jeszcze nakarbijem im plecy. Poczem zaciął

konia i puścił się ze Stanisławem przyśpieszonym kłusem.

Zdziwiony Pawełek stał długo na rozdrożu, nareszcie splunął i rzekł:—Ot, biesowe Lachy! — ale te jak czart ich napadł. Gdzież ty, tatu, nocować myślisz?—zapytał, dognawszy Żytkiewicza.

— Na ziemi przeciwko nieba.

Paweł, jakby domyślając się, iż obudził nieufność względem siebie, spojrzął w oczy Żytkiewiczowi i rzekł: Ty może, tatu, myślisz, że zmówiłem się uciec z hajdamakami albo co?—Ot żebym poczerniał jak ta ziemia, żebym jutra nie doczekał, żeby mię Krzyż Święty pobił, jeśli mam jaką złą dumkę w sercu. A wszak żebym chciał uciec, tobym uciekł kiedy zechcę, jak wy śpicie, albo jak zostałem się w karczmie.

Ale Żytkiewicz oświadczył, że nigdy go nie podejrzewał o ucieczkę, tymczasem zaś szłapał w raz powziętym kierunku. Tak ubiegli stepami mil ze dwie i o zachodzie stanęli nad Ingułem. Przeciwko nich widniał Las Czarny, z prawej strony Czuta, a na jarze zieleniały ługi, długie taśmy oczeretów i tu i owdzie przebłyskały stawy. Żytkiewicz skierował się bez drogi w jar głęboki i o kilkaset sążni od rzeki, w kotlinie, pokrytej burzanem, zatrzymał się na nocleg. Gdy rozsiodłano konie i przyszła pora ich napojenia, Paweł zebrał je wszystkie i chciał prowadzić do Ingułu, ale Żytkiewicz powiedział:—Zostań synu, przy siodłach, a ja je napoję ze Stanisławem. Paweł już nie powstrzymał się w gniewie, zaczął wymawiać, że mu nie ufają, że go mają za wroga, że on

powędruje gdzie oczy poniosą, jeśli tak ojciec postępować z nim będzie. Nareszcie usiadł po tatarsku na ziemi, zapalił fajkę i milczał.

Ale gdy go zostawiono samego, nagle mu oczy zaiskrzyły się jak węgle, podniósł głowę i w sprężystym susie, jak zwierzę, skoczył do siodła Żytkiewicza. Tam wydobyl z sakiew flaszę z gorzałką, drugą z własnej kieszeni, przekroił bochenek chleba, wydrążył jedną połowę z miękiszy i zapomocą tego prostego narzędzia przelał gorzałkę swoją do flaszki Żytkiewicza, a tamtą do swojej. Poczem znowu usiadł na stronie—i przez cały wieczór nie odezwał się ani słóweczka, nie wstał do czarki i wieszery, ale, pościeliwszy derę, nakrył się burką i zachrapał. Żytkiewicz tymczasem mówił pacierz. Stanisław popętał konie i puścił je na paszę — i wkrótce obaj zasnęli snem twardym.

Gdy Żytkiewicz obudził się nazajutrz, już słońce świeciło nad głową i południowemi promieniami paliło go niemilosiernie. Porwał się więc na nogi, przerażony i, żegnając się, krzyknął:

— Jezus, Marya! czyż to doprawdy już południe? Cóż to się stało, żem spał tak twardo i długo? Budzi więc Stanisława, ale dobudzić się nie może. Bieży do Pawła, ale niema Pawła ani koni. Ogląda się dokoła i widzi, że niema ani burek, ani siodła. Szuka na piersiach skózanego hamańca, gdzie miał pieniądze, ale i tego nie znajduje. Poznaje nareszcie, że Paweł ich okradł ledwie nie do koszuli.

Natenczas Żytkiewicz wznosił oczy, zalane łzami i zawołał:

— O Boże! jakże mię srodze karzesz. Syn mię własny okradł, a czemuż nie zabił!

Potem padł na ziemię i płakał jak dziecko.

Jego łkania obudziły Stanisława, który nie mniejszą przejęty został boleścią, poznając co zaszło.

Widocznie Paweł podsunął im zręcznie wódkę, zaprawioną usypiającem zieleń, jakowy sposób był często praktykowany przez hajdamaków.

Stanisław cieszył jak mógł starego, ale Żytkiewicz wciąż płakał i mówił:

— Oj, daj mi pokój, chłopcze! niema już dla mnie pociechy w tem życiu! U ludzi dzieci są pociechą na starość, u mnie syn mój jedyny, wyrodek, hajdamaka.

Gdy się s płakał stary i lzy ulżyły mu boleści, nagle potem powstał, jakoby się opamiętał i rzekł mocnym głosem:

— No, Stasiu, dokozakowaliśmy się, niema co mówić! Jedźmy teraz na ojcowskich koniach.

Przeżegnał się.

— Boże! w imię twoje! Błogosław nas, Panie! A ty, synu,—dodał grzmiącym głosem, obracając się ku stepom i podnosząc rękę, jakby przemawiał do pustyni—oby cię Bóg tak zasmucił, jak ty mnie zasmuciłeś. Oby cię odepchnął od swego łona i występna głowa twoja nigdzie nie znalazła spokoju! Nie mam syna, nie mam! Oby Bóg też same słowa powtórzył na strasznym sądzie swoim! No, chodźmy teraz, Sta-

siu, chodźmy!—dodał.—Teraz mi lżej na sercu! teraz nie mam syna i nie boję się rozboju.

I oblicze jego przybrało wyraz zupełnej obojętności.

Stanisław tak był przerażony tą chwilą, iż słowa rzec nie śmiał.

Stary nałożył fajkę, jedyny sprzęt, jaki mu pozostał w kieszeni, skrzesał ognia, zapalił ją i, brnąc przez burzany, zaczął obojętną o czemś rozmowę, jakby żaden nie spotkał ich przypadek.

Nie będziemy powtarzali szczegółowo, jaką boleścią przejęci byli wszyscy w futorze Brzozowskiego, gdy im Żytkiewicz i Stanisław opowiedzieli wypadki swej podróży; nie będziemy też opisywać tych chwil szczęśliwych, których potem kosztowali kochankowie, osłonieni wiosną, lasami i samotnością.

Domyślicie się, zapewne, iż Stanisław nie mógł znieść dłużej, nad dni kilka, niepewności co do wyroku o jego losie i, upatrzwszy chwilę, padł do nóg rodziców Zosi, prosząc ze łzami o jej rękę.

Stary Żytkiewicz tak go pokochał, iż, wysłuchawszy jego prośby, przywołał córkę: oddając mu ją, powiedział:

— Wiem, że się kochacie, moje dzieci. Oddaję ci, Stasiu, mój jedyny skarb, jaki mi pozostał na świecie. Kochaj i szanuj ją, chłopcze, bo to pocziwe dziecko... a ja już stary, jak tam da Pan Bóg, dochyrlam do grobu sam jeden...

— Zastąpię ci syna, najdroższy ojeze, — wołał Stanisław—i nie opuścim cię do śmierci!

— Dziękuję ci, Stasiu! dziękuję! — mówił drżącym głosem Żytkiewicz. — Durz mię chłopcze, durz mię starego jak czasem zrobi się mi ciężko na sercu... a Bóg ci zapłaci za twą dobroć!

Po kilku tygodniach odbył się ślub młodej pary w Śmielańskim kościółku, gdzie obowiązki służbowe powoływały młodego Brzozowskiego.

Stanisławostwo, obliczywszy swe szlacheckie fortunki, i zapewniwszy się, że w połączeniu posiadają piękną sumkę, za którą mogą otrzymać na zastawnem prawie wioskę z Humańskiego klucza, zaczęli o to starać się u Potockiego i magnat ten, posiadający je secinami w jednej z najżyźniejszych okolic Ukrainy, ustąpił jedną z nich na imię Stanisława Brzozowskiego.

Tam się przenieśli młodzi Brzozowscy i zapomnieli już myśleć o Mamaju, przekonani będąc, że zapomniał o pogróżce, którą mu spełnić nie było łatwo, zwłaszcza w Humańszczyźnie, gdzie milicya czujnie strzegła granic; gdy wtem raz jednego, przed rocznym Humańskim jarmarkiem na św. Piotra, odebrał Brzozowski list przez umyślnego od namiestnika narodowej kawalerii, Witośławskiego, zawiadamiający go, że Mamaj, podzieliwszy się na małe bandy, wałęsa się z jedną taką bandą po okolicznych lasach, i że dotropił on do Teplickich lasów, zkąd zapewne pociągnie na Granów. Żądał więc, ażeby mieć się na ostrożności i uzbroić kozaków.

Brzozowski natychmiast uzbroił 24 ludzi, porozstawiał strażę przy kołowrotach i często, podczas

nocy, z kilkunastu kozakami, dosiadłszy konia, wałęsał się po okolicznych szlakach.

Powracając raz do domu z takiej wycieczki, postrzegł on przy blasku księżyca, iż postać jakaś zamajaczyła przed nim na drodze i wskoczyła w żyto, rosnące bujnie po obu jej stronach. Skoczono tamtędy i wytropiono chłopca lat szesnastu, w którym, ku wielkiemu zdziwieniu Brzozowskiego, poznał on Oleksę, własnego stajennego. Na zapytanie, co tu robi? zkąd idzie? i czego się kryje? zmieszał się kozaczek, drżał cały, ale, odprowadzony do domu i wzięty na ścisłe badania, wyznał, że był w lesie u Pilipona, który tej wiosny zakupił wszystkie sady leśne od Brzozowskiego, że on przyrzekł mu dać jesienią kilka worków jabłek, jeśli będzie mu dźnosił co się u pana robi w domu i kiedy wyjedzie na jarmark do Humania; że nareszcie widział tam kilkunastu nie tutejszych ludzi, którzy go rozpytywali szczegółowo o zabudowania, o zamki, o izby, w których spiąją i gdzie stoją kufry, i że ciż ludzie namawiali go, ażeby uciekł od stajni, przyrzekając zaprowadzić go na Zaporozie, gdzie, jak mówili, będzie chodził w safianowych butach i nosił pełne kieszenie rubli. W końcu dodał, że tych nieznanomych nie widział on nigdy dniem, ale że zawsze schodzili się z lasu na wieczerszę do Pilipona i kładli się spać w szałaszu.

Powziąwszy taką wiadomość, Brzozowski, nie tracąc ani chwili, zebrał swoich kozaków, uzbroił ich w fuzye i spisy i puścił się drogą ku lasowi.

Nie dojechawszy do wskazanego sadu jakieś kilkaset sążni, kazał wszystkim pozysać z koni, ustawił je w jarcu na ustroniu, a sam z kozakami pieszo. Ale należało jeszcze zabezpieczyć się od psów, które tu trzymał Pilipon dla straży; i kozak Brzozowski, doświadczony Omełko, użył na nie tego samego sposobu, jakiego używają hajdamacy. Podkradłszy się, najprzód zwołał je po nazwiskach i każdemu cisnął kłębek wału, pokryty lojem. Kłębki te zastrzegły im w pyskach i już ani szczeukać, ani od nich uwolnić się nie mogły. A wtem postąpili kozacy, przeleźli przez płoty i otoczyli szalasz. Huknął natenczas Brzozowski, ażeby się poddali i spłoszeni hajdamacy, po chwilowem borykaniu się z kozakami, bez najmniejszego krwi rozlewu, bez żadnego wystrzału, powiązani zostali co do nogi.

Owocem tej szczęśliwej wyprawy było dwunastu hajdamaków, licząc już w to i watażkę ich, Sycza, tak nazwanego od uderzającego podobieństwa oblicza jego do głowy puszczyka.

Brzozowski wnet ich, pod mocną strażą, odesłał do Humania, gdzie wyznali pod różgami, że są z bandy Mamaja i spodziewali się codzień jego przybycia, ażeby napaść i ograbić dom Brzozowskiego.

Ale wieść o ich pojmaniu rozniosła się wnet-że po okolicy i Mamaj nie pokazał się w tych stronach.

Po badaniu, którem, jak wiadomo, komendant i pułkownik Humańskiej milicyi, Gorzewski, nie zabawił się długo, wszyscy zostali wywieszeni, a porucznik kawaleryi narodowej, Wydźga, tropił tym-

czasem z oddziałem swoim uchodzącego Mamaja, omal go nie pojmałszy na granicy. Wszakże strażę rosyjskie, zawiadomione o kierunku ucieczki owego rozbójnika, dośledziły go znowu aż do Bugu, i tu, jak powiadają, schwycony on został na wyspie Mihei.

Dziwnem zrządzeniem losu, stary Żytkiewicz, już podczas jesieni wałęsając się po granicznych jarmarkach, był w Bohopolu tego samego dnia, kiedy rosyjski oficer—pojmanego Mamaja, jako poddanego polskiego—oddawał namiestnikowi Witosłowskiemu, stojącemu nad granicą obozem. Osądzono go na pal i, gdy prowadzono go na stracenie, spotkał się z nim oko w oko Żytkiewicz. Poznał go rozbójnik natychmiast i zawołał:

— Bywaj zdrów lasze! Ot, teraz już nie bój się, nie odbiorę ci dziewczki. Przeklęte lachy, tropili mię przez całą jesień jak, lisa. No, widać przyszedł czas odwetu. Doli, jak to powiadają, koniem nie objedziesz. Napatroszyłem ja i ich dowoli—popamiętają czas jakiś Mamaja! Tyś tegi lach, krot twoju matir! Pamiętasz jak bronileś się w Mosznach? Dajże lulki, choć raz smoknąć przed śmiercią...

Żytkiewicz podał mu fajkę, którą trzymał w ustach i rzekł:

— Przeżegnaj się, Mamaju, a pożałuj za grzechy. Ej zgubiłeś mi syna, Mamaju, bodajby ci Bóg nie pamiętał tego na strasznym sądzie swoim.

— Wiem, wiem wszystko — przerwał Mamaj z uśmiechem, przymruczając jedno oko. Zuch, dali-

bóg zuch! Zaleje on wam za skórę sadła, zobaczycie. A silny psiawiara jak niedźwiedź. Klaniaj się odemnie dziewce swojej... hoża z biesa laszka! Nie uszlaby ona rąk moich, żeby nie te paciorki — dodał, potrząsając kajdanami.

Żytkiewicz zatrzymał się jak wryty, pod wpływem zdziwienia, widząc taką spokojność zbrodniarza, który za chwilę miał wyzionąć ducha w najboleśniejszych męczarniach, a tymczasem więzień oddalał się i wołał:

— Bądź zdrow, lasze. Żegnaj, panie Żytkiewicz.

Po straceniu Mamaja, Ukraina na czas jakiś odetchnęła od grabieży, pożóg i mordów.

Młodzi Brzozowscy mieszkali zawsze w swojej wiosce pod Humaniem, stary Żytkiewicz nie mógł się odzwyczaić od czynnego życia i do późnej starości zajmował się handlem koni i bydła; stary Brzozowski nie zgadzał się za nic zostawić swego futuru i pasieki i żył tam do późnej starości, odwiedzany corocznie przez syna, synową i Żytkiewicza; co zaś do syna Żytkiewicza, ten, hajdamakując ciągle, należał później do Koliszczyzny i zginął nakoniec pod toporem kata.

NESTOR PISANKA.

Nieopodal Śmily, nad szerokim rozlewem Taśminy połączonej z Irdyniem, gdzie leżą dziś ze stron jej obu rozsypane wioski aż do *Pisarskiej grobli*, przed niedawnymi jeszcze czasy nie było tylu osad; a zamiast wsi, leżały w tajemniczych lasach i jarach, na prawym brzegu—futory, a na lewym—lewady i pola. Nie każdy z podróżnych, a nawet z mieszkańców Śmielańszczyzny, zwiedził te wybrzeża, bo leżą na ustroniu, a szlak przez lasy i Pisarską groblę, idący do Czerkas i na przylegające wybrzeża Dnieprowe, do dziś dnia jest uczęszczany li przez okolicznych wieśniaków. W tym jednakże zakątku Ukrainy natura dziwnie piękny ma wyraz, i ja zapewne byłem pierwszy, com spojrzał nań z uczuciem malarza i poety. Mówiono mi, że na tym taśmińskim rozlewie, na tych Irdyńskich błotach, lęgnie się mnóstwo dzikiego ptactwa—i zapal do polowania, pognał mię w te lasy i w te wody. Odtąd, wycieczka kilkorazowa każdego lata nad Taśminę stała się dla mnie niejako pokarmem dla duszy, uczuciem, które zaspokajać cor-

cznie miałem niepokonaną potrzebę i z kąd zawsze wracałem rozmarzony. Do wytężenia tego uczucia, przyczyniły się i inne wrażenia. Jakoś wkrótce przed pierwszym zwiedzeniem tej okolicy, przeczytałem po raz pierwszy powieści Cooper'a, i tak pokochałem tajemnicze lasy Ameryki, ztem o nich marzyłem, do nich tęskniłem, one mi ciągle wraz z *Sokolem Okiem* w żywej stały pamięci... Jakże nie miałem przyłgnąć całą siłą młodzieńczego zachwytu do tych wybrzeży, kiedy znalazłem w nich tyle podobieństwa do pustynnych okolic Delawaru? Wyobraźcie sobie rzekę rozlaną szeroko, z nieprzeliczonym na niej mnóstwem wysp, sadów, pasiek, oczeretów; wyobraźcie brzeg jej lewy, rozścielający się w smugi piasku, zielone ługi i pola, a prawy wyniosły, cały zasypany dąbrowami, lasami, poprzeżynany głębokimi jarami i z kąd wzrok wasz przegląda jak na dłoni całą tę tkaninę natury, pokrytą bujną vegetacją południowego słońca, puszącą się masami sadów i masami kwiecia; dodajcie do tego urok, jaki sprawia taka ustronń pustynna, o której jakby nie wiedział świat cały, jakby mieszkańcy jej o Bożym nie wiedzieli świecie, który brzmi i żyje poza czarną taśmą jej lasów, — a będziecie mieli słaby zarys tego zakątka Ukrainy. Odtąd, ilem razy, przy blasku księżycy, pływał w wątlej łodzi na pustynnych rozlewach Taśminy, tyle razy wyobrażenia moja w dziwnem zostawała nastroju. Czegożem tu nie przemarzył! iluż tu nie osnułem powieści, nie zaczynałem poematów!... Tak bo tu wszystko składało się w obrazy, tak zdawało się przedzierzgać

w cudowne podania i legendy, ztem kraik ten mały przywykł uważać za skarbiec najpoetyczniejszych podań Ukrainy. I słowiki, zdało mi się, tu szczebio-tały wdzięczniej i wody tu były błękitniejsze i zieleniejsze lasy, — a urok ten podwajało zadawałające egoizm przekonanie, iż ja tu jestem pierwszy, com odkrył te wdzięki i cieszę się nimi; że oprócz ptaków i słońca, nikt ich nie zna i nie patrzył się na nie, nie napawał wzroku tą grą kolorów, tym widokiem niezepsutej i niespłoszonej natury. Jest to coś na kształt tej rozkoszy, jaką uczuwamy w czystej miłości dziewczyny, której usta wprzód nie darzyły pocałunkiem serdecznym nikogo, której pierś, dla ciebie po raz pierwszy zabiła wzajemnością.

Przed kilku laty, podczas jednej z wycieczek letnich na polowanie, zapuściwszy się w *splawy* z rybakiem, goniąc kaczki i kulony po nieprzeliczonych a bagnistych zakrętach Taśminy, oddaliłem się tak daleko od brzegu, iż powrócić za widna było niepodobieństwem. Kiedym to postrzegł, już słońce, jak ognista kula, leżało na długim paśmie przeciwnych piasków, rybak mój był znużony całodziennem pływaniem, a co najbardziej, iż powrót nasz zatrudniały mialczyzny, które przebywać należało bez wiosła, lecz za pomocą rybackiego beltu, opierając go o dno bagniste, porośnięte ogromnym wodnym burzanem. Takich miejsc przebyliśmy dużo, zajęci szukaniem zwierzyny po sitowiacz i zielsku, a innej, łatwiejszej ścieżki do powrotu nie było. Na topiele osiadł cichy, cudowny letni wieczór; wody odbijały najwier-



niej do koła mnie łódź naszą i długie liścia oczeretów i błękit nieba i płaczące wierzby, co maczały swe dziewicze kosy w jej łonie. Miryady muszek unosiły się przed nami, a stada kaczek co chwila wypływały z oczeretów, i albo się zrywały, odlatując na żer, albo kapaly się najponętniej na czystych smugach zalewów. Był to obrazek, którego nie odbieży poeta i myśliwy.

Rybak mój, był to staruszek z pobliskiej wioski, nie z siwą, jak zazwyczaj staruszkowie, ale z czarną, piękną, moźszową brodą i rysem prawdziwie ukraińskim oblicza. Od lat młodych trudniąc się rybolówstwem, znał on każdy zakątek tych rozlewów. Kiedyśmy ugrzęzli nareszcie na niewielkiej płaszczyźnie, porosłej rzadkiem sitowiem, tak iż łódź nasza, parta beltem, z wielkiem wysileniem, leniwie posuwała się naprzód, dziad położył najspokojniej belt w czółno, obejrzał horyzont, usiadł i, dobywszy z kieszeni rożka, zażył tabaki.

— Cóż, *didu*,—rzekłem; — możeby pora już kierować się ku domowi?

— A jak wy myślicie, prędko dopłyniemy?

— A czemuż nie? wszak oto widać hołowiatyńską górę, a dalej Hulajgrodzką dąbrowę, więc Szostowa przystań jak raz przeciwko tej przewali, żółciejącej pod lasem.

— Tak, wasza prawda — rzekł dziad z uśmiechem — ale jak się wam zdaje, czy prędko dopłyniemy?

— Na wieczerzę.

— Otóż nie na wieczerzę, a jakraz, gdy na jutrznię dzwonić będą. Tu niema miejsc czystych, Taśmin, jak widzicie, wysechł dużo w tym roku; więc nie przez jedne *hony* po tych przeklętych *kuszyrach* brnąć trzeba.

— Więc cóż pocniemy?

— Trzeba wprosić się do Nestora na noc.

— Gdzież-to?

— A ot tam, widzisz *pane*, w tych oczeretach, hen, hen — gdzie się dym kurzy.

— Jak do Nestora, to i do Nestora — rzekłem, zapalając cygaro. Dziad mój wziął się do belta.

— Powiedz-że mi dziad, kto ten Nestor?

— Zachożyj, przybysz, nie tutejszy — mówił dziad, starając się wyrazić dobitniej; — *did sobi*, pasiecznik. Ot tak np., żebym ja był pasiecznikiem, toby mię nazywali Demydem pasiecznikiem; on zaś, że ma imię Nestor, więc zwą go ludzie Nestorem pasiecznikiem; po przezwisku zaś Pisanka.

— Zapewne był kiedyś ładny?

— Obaczycie: a jest z wami wódka?

— Mam flaszkę.

— No, to i dobrze; a ja mam drugą, będzie czem ugościć dziadorę. A on łasy na wódkę, tylko ostrożny psiawiara, bo jak się podchmieli, to nabresze, że i nie spiszesz wszystkiego.

Tymczasem posuwaliśmy się pomału ku ogromnej masie wysokich oczeretów, nad które wystawały z głębi wiercholki wierzb. W miarę naszego zbli-

zania się, wodna roślinność przedstawiała mieszaninę zielska, kwiecica, łóz, olch i trzciny. Wszystko to nagromadzone bezładnie, ale w dziwnie malowniczy sposób, okrywało brzeg nieprzeniknioną gęstwiną. Wpłynęliśmy w wąski przesmyk, nazywany *strugą* i łódź nasza, dostawszy się na głębią, zakolysała się lekko, pobiegła żwawo. Śliczny to, choć w wążutkie ramy ujęty był, pejzaż! Białe kwiaty lotaczu, wystając nad wodę, leżały na szerokich talerzach liści, a kwitnęły w takiej obfitości, iż zalegały całe przestrzenie splawów; gdzie zaś strumień nie był zakryty niemi, tam, przez spokojne zwierciadło wody, widniały na dnie całe pokłady mechów i zielska, i na kształt sennych widziadeł przesuwały się przed okiem. Niekiedy zapływaliliśmy w tak wązkie przesmyki, że byliśmy jak w najgęstszym lesie, a wtedy chwytałyśmy się za trzciny i ciągnąc je ku sobie, tym sposobem posuwali się dalej; ale łódź nasza po chwilowem usiłowaniu przerznawszy się przez zarośla, znowu spadała na łożysko strumienia i wypływaliliśmy na nowe przesmyki, zalewy, jeziora. Zakątków, fałszywych uboczy, nieznanomych ścieżek, było tu tyle, iż nieobeznanemu dobrze z miejscowością, zbłąkać się było łatwo, wyjść zaś na brzeg, niepodobieństwem, gdyż otaczały nas trzęsawiska zdradliwe i niezgruntowane. Kiedyśmy przybyli do przystani tak skrytej w gęstwi oczeretów i zawieszanej gałęziami wierzby, iż jej dostrzedz nie podobna nawet wśród dnia białego, rybak mój wysiadł na brzeg, zaciągnął łódź w trzciny i schowawszy wiosło, poszedł naprzód, prowadząc mnie przez zarośla

ledwie widomą ścieżką. Po chwili weszliśmy na błon niewielką, z kądem obaczyłem przed sobą płot stary, rozsypany w połowie, ale malowniczo gęstym obwity chmielem. Tu zamiast skierowania się ku płotowi, na samej krawędzi zarośli zwróciliśmy na lewo i jakby napowrót. Zapytałem mojego przewodnika:

— Dla czego tak błądzim?

On mi wskazał zieloną błon za płotem i rzekł:

— Tam trzęsawisko, przez które zaszlibyśmy prędzej na tamten świat, niż do futuru.

W istocie, postrzegłem iż wstąpiliśmy na grunt bagnisty i chwiejący się. Kępy tylko, po których szliśmy, utrzymywały nas na powierzchni, ale gdzie myliły się stopy, tam zwierchnia skorupa ugięła się lub przerywała zupełnie.

— Więc nie byliście tu nigdy? — zapytał mnie Demyd.

— Nigdy.

— Bo też tu nie każdy zajrzeć potrafił, a wielu przyplaciło życiem swą ciekawość. Kilku nas jest tylko, co dobrze znamy ścieżkę. Z młodych nikt prawie.

— Alboż nie chodzą ludzie do tego futuru?

— Chodzą, ale nie wielu. Stary, dziwak; czynsz płaci z góry, nie brata się z nikim, żyje odludkiem a hula we wsi.

— To i hula?

— Zawsze dwa razy do roku. Wiosną po Wielkiej nocy i jesienią po *Spasie*, jak miód i wosk sprze-

da. Ale nie mów wtedy, że nie pijesz; cała wieś się schodzi, wódka leje się wiadrami cały tydzień. A że to zaraz pójdzie słuch, że Nestor hula, więc ludzie jak na odpust ciągną zewsząd.

— Więc on powinien być bogatym?

— O, groszowity dziadora! — rzekł Demyd. — Mówią, że ma zakopane pieniądze, a i wie o innych ukrytych skarbach. A że żyje z dawnych pieniędzy, to pewna, bo zawsze płaci elizaweckimi rublami. A bywalec! hej, hej! więcej on zapomniał, niż my wiemy! I piśmienny; czyta hramotę laską i cerkiewną, a jak przesiadywał w Motroneńskim monasterze, wy go znacie? co to na drodze z Żabotyńa do Medwedówki, w lasach? to zawsze śpiewał z diakami na klirosie.

— Czegoż on tam przesiadywał?

— Był chory; naszła nań *przyczyna*; męczyła go nieczysta siła. Bywało, jak nastąpi *Piotrówka*, to tu do futoru ani przystępu!... Coś szumi po oczeretach, płacze w łożach, to znowu chychocze, że aż straszno... A podczas nocy, bywało, jak zanocuję w polu na tej oto górze, to mi widniuteńko, tak sypią się tu iskry. Wtenczas nikt do niego ani zajrzy, a gdy przeszła zła pora, to i on wypływał na brzeg i wchodził między ludzi i był jak wszyscy. Otóż razu jednego poszedł on na odpust do Motroneńskiego monasteru, na samo Wniebowstąpienie; tam spowiadał się, przyjmował Komunię św. i został z namowy Ihumena. Już to wiadomo, że nieczysta siła nie przystąpi do świętego miejsca, bo Św. Michał Archanioł z ognistym mie-

czem, każdej nocy przed jutrznią objeżdża ściany monasteru, a święta Matrona każdego wieczora okrapia go święconą wodą, co ją Aniołowie przynoszą jej co dnia aż z Jordanu. I tam natenczas zapewne on pokutował i modlił się, bo ozdrowiał i oto już rok czwarty jak żyje spokojnie. A dał, jak mówią, Ihumenowi całą czapkę karbowańców. Otoż na *Makowija*, gdy opuszczał monaster, sam natenczas słyszałem, jak go przestrzegał Iumen, ażeby nie pił wódki, bo jak tylko pić zacznie, polknie z czarki nieczystą siłę, która *zabuszuje* w nim znowu.

— Ale on nie powstrzymał się?

— Cierpiał długo, ale nie wycierpiał. Jak nie pije, to tu w pasiece dziwy dzieją się u niego. Ule coś powywraca każdej nocy, powytrzęsa więcierze i porwie sieci. On za dnia znów wszystko przypro-wadzi do ładu, ale następnej nocy dyabli nową mu wy-płatają sztukę. Natenczas stary martwi się, chodzi jak nie swój, a w tem ktoś podjedzie czółnem, albo huknie i zawoła po imieniu z brzegu. A jak tylko stary wysiadł na brzeg, to i koniec. Nasza arędarka aż patynkami klapie z radości, jak obaczy Nestora u siebie, bo już wie dobrze, że zostawi całą garść pie-niędzy.

Tymczasem obeszlśmy zielone trzęsawisko i zna-leźli się przy studni. Na żórawiu co się rysował wy-raźnie na tle wieczornego nieba, siedziała sowa, pa-trząc na nas pomarańczowemi oczami. Dalej ciągnął się płot—w nim był przelaz i widniał obszerny sad, z tak nawjślemi gałęziami, iż należało schylać się ku

ziemi, ażeby coś obaczyć na dalszą przestrzeń. Każde drzewo było starannie oczyszczone od mchów i pokryte dojrzewającymi owocami. Stare to już były drzewa i rozsądzone prostymi liniami, co się przeciwilo zwyczajowi zakładania ukraińskich sadów. Grunt pod drzewami widocznie był nasypowy, bo miał powierzchnię dobrze wystającą nad poziom okolicznych ostrowów, a rów co go otaczał, dowodził, że umiejętna ręka osuszała tę przestrzeń. Na wstępie do ogrodu opadły nas psy i, szczekając, przeprowadzały do chaty pomiędzy rozłożonemi kurzyskami, od których dym rozścielał się nad całym ogrodem i jakby białym muślinem powlekał przedmioty.

Chata Nestora stała w samym środku ogrodu. Była to duża o dwóch przedziałach ukraińska chata, ale już stara i chyląca się do upadku. Zielony mech pokrywał dach jej ze trzciny, a na grzebieniu bocian założył gniazdo i właśnie drzemał na jednej nodze, położywszy szyję na grzbiecie. Pasięka po prawej ręce zajmowała duży kawał ogrodu, otoczona płotem, w którym bieląła furtką z drewnianym krzyżkiem i obrazkiem Św. Zosyma, patrona pasiek; a na przeciwległej stronie czerniał wysoki dach suszarni, przy której leżały kupami zebrane już owoce. Lewa strona chaty była opasana bzami, rozmarynem, malwami, nasturcyami i nocną ozdobą, a u drzwi samych, na ziemi, siedział starzec, i trzymał w rękę rozkrojony kawon.

— *Zdorow didu!*—rzekłem, stawiając dubeltówkę przy ścianie.

— *Zdorow!*

— *Boże pomahaj!*

— *Spasybi!*

— Oto zapłynęliśmy w spławy tak daleko, iż nie można było powrócić do *Pisarskiej grobli*. Demyd więc zaprowadził mię do was Nestorze: czy przyjmiecie nas na noc?

Stary obejrzał mię od stóp do głowy i nie ruszając się z miejsca, rzekł:

— A wy zkąd?

— Z Prus, z pod Żabotyńa.

— To *panok motoruj*—przerwał Demyd. — Co roku jeździ tu na polowanie i ja go zawsze wożę na spławy.

— Jeśli tak, więc przenocujcie. Czem chata bogata tem i rada. Jest palanica, jest miód, jest kasha—co się podoba. Siadajcie.

— Ot i dobrze!—rzekł Demyd,—a reszta znajdzie się u nas. My zawsze wyjeżdżamy na cały dzień, więc tam u tego pana po kozacku, jest w torbie i lulka i krzesiwo i chleb i wódka. Żeby nie sywucha, dyabełby tam wytrzymał cały dzień robić wiosłem; a jak zajechaliśmy dziś w buzukowieckie spławy, czy dasz wiarę? pół dnia brniemy przez te przekłete *kusziry*.

Zrzuciłem torbę z ramion — usiedliśmy na ziemi przy ogniu—ja dostałem cygaro a Nestor zapalił luzczywo i podniósł mi je do zapalenia. Przy blasku ognia spojrzałem w oblicze Nestora i wzdrygnąłem się. Był to już starzec w całym znaczeniu tego wy-

razu. Włosy na głowie i brodzie miał białe; twarz wyschłą, oczy siwe i jeszcze pełne blasku; policzki pokiereszowane i rabe, usta ścieśnione a postać barczysta i pomimo starości dość jeszcze krzepką. Ręce jego zakasane, do łokci, nabrzękły żyłami, a pierś przez pazuchę świeciła kosmacizną włosów. W ogólnym wyrazie tej postaci widać było siłę, ale ślady cierpień, czy ciężkich trudów, przeglądały w zmarszczkach na całej twarzy. Nie była to starość życia pogodnego, ale pełnego burz i namiętności. Oblicze to jednakże, pomimo nieregularnych rysów, pomimo przykrego wyrazu w jakie się układało przy rozmowie, nie było bez pewnego wdzięku. Przeobrażały je zupełnie szramy, przekreślające w różnych kierunkach lice, tu ściągając a tam garbiąc skórę i robiły zupełnie niepodobnem do własnego swego pierwotworu.

Nestor zastawił przed nami prawdziwie ukraińską wieczerzę. Przesłał na ziemi obrusek lamowany, postawił miskę miodu, drugą kaszy, pokrajał dwie palnice i kawona—i zaprosił do jedzenia. Dostałem natenczas z torby plecionkę z wódką i uczęstowałem obudwu. Po wieczerzy namówiłem ich znowu do kieliszka, a po trzecim, do którego przymówili się sami, że to był mocny spirytus, uważałem, iż Nestorowi rozwiązywał się język. Dotąd, ilem go razy zapytywał, to o nim samym, to o futorze, zbywał mię niczem; teraz zaś sam zwracał myśli ku czasom przeszłym i często powtarzał z uśmiechem, poglądając na mnie:

— Hej, hej! co wy wiecie!...

— A jeżeli ty *didu* wiesz więcej, więc opowiedz nam z tego cokolwiek. Musisz być dobrze stary?

— O, stary! a nie tak jeszcze stary, jak dawny!

— Pamiętasz hajdamaczną?

— Hajdamaczną?—mruknął Nestor i opuścił głowę na piersi.

Milczeliśmy wszyscy. Nestor po chwili przeciągnął rękę do butelki—nalął i wypił czarę. Postępowanie to już nie było w sposobie ukraińskiego ludu, który nagada się pierwej i naprosi towarzyszy, nim odbędzie ów akt uroczysty. Widocznie chęć nieprzewyciężona do trunku zaczęła obudzać się w starym.

Oczy mu niezwykłym rozgorzały blaskiem.

— W dobrą porę trafiliśmy—szepnął do mnie Demyd.—Nawidzony starzec jak się rozhula, to nam nie da spokoju przez noc całą.

Nestor tymczasem siedział ze spuszczoną głową i mruczał coś sobie pod nosem. Z niewyraźnych słów przeszedł do wyraźniejszej mowy, ale mówił jakby sam do siebie:

— Haj, haj! Żeleźniak to był zuch! Oblał on krwią Ukrainę; oblął nas i siebie!... Gdzie-to jego dusza? Pobija się gdzieś serdeczna na tamtym świecie, bez łaski i miłosierdzia Bożego!... błąka się po pieczarach... a niema jej ani dnia ani nocy, ani zmiłowania, ani pomocy! Przepadł, o! przepadł *siroma* na wieki, jak to badyle w stepie!...

I dziad zaszlochał tak okropnie, że mróz przeszedł po mnie; ale postrzegłszy nas, jakby opomniał się i mówił dalej:

— Broił-że, bo broił! a to się nie godzi... Pokutuj-że teraz, boś nagrzeszył dużo, — o! dużo! nie zmyją deszcze tej krwi, nie zasłoni noc tych pożarów!

— Było wszystkiego — przerwał Demyd, widocznie chcąc się odezwać z czemś swoim.

— Ty choć stary — rzekł Nestor — ale ty bracie nie widziałeś i dziesiątej części tego, na com ja patrzył, ot tak jak dziś na ciebie.

— Ta to prawda, że ty stary i bywały.

— Kiedyś się rodził?

— Kto go wie? mówiła matka nieboszczka, że niby-to podczas wielkiej zimy.

— A ja podczas wielkiej zimy byłem już kozakiem, już miałem wąsy.

Wielką zimą nazywają na Ukrainie rok 1789; zdziwiłem się niepomału, gdy przypuszczając Nestorowi wtedy lat 24, widziałem przed sobą stuletniego starca.

— Oj staryż ty dziadu, stary! — rzekłem. Masz lat ze sto.

— Nie, przejdź na ten bok.

— Jeszcze więcej?

— Sto i dwa jeszcze.

— Opowiedz mi życie swoje.

— Moje życie, — to długa niwa! Jak na długiej niwie napotkasz burzany i suche piaski i bujne kwiecie i złociste zboże, tak i na niwie mego życia!

Żyłem jak wszyscy wtedy; hulałem jak wszyscy; rznąłem Lachów i żydów, ale nie to mi ciąży na duszy. Jest jedna tajemnica co mnie powiodła na pożogi i mordy; jedna przygoda, co ze mnie spokojnego chłopca, zrobiła hajdamakę. Jak przypomnę sobie życie moje młode, to sam się dziwię: co się potem zrobiło zemną? Czyż-to ja myślałem zabrnąć tak głęboko i nie opamiętać się aż teraz!...

Starzec pokręcił głową, jakby pod wpływem ciężkiej jakiej myśli, albo wewnętrznego bólu — potarł dłonią piersi — powstał nagle i pochwyciwszy flaszkę, już bez czarki, pił z niej z przerażającym pragnieniem.

— Biesowe dzieci czartowskie! — odezwał się po chwili. — Oni myśleli, że młodego kozaka zamkną w ciemnicy, że mu hulać nie pozwolą na stepie? że on się ulęknie kańczugów, albo jak pies przywyknie i lasić się będzie... Piecze mnie... o, piecze mnie tutaj laszku! — rzekł rozrywając koszulę na piersi. — Ja byłem silny, ja byłem tak zdrów, że ziemi nie słyszałem pod sobą!... ja teraz jeszcze starłbym dzieścieniu takich jak ty w moim kułaku... ale mnie tutaj piecze... tu siedzi gadzina co ssie moje życie... Ja porąbany... o, widzisz ten szram? (i obnażył do ramion żyłastą rękę) to mnie ciało psiawiara pohaniec, tatar, bydlę przeklęte; alem go za to na wylot przejął moją spisną!... A ot tu na ramieniu — widzisz znaki od zębów? to się wpił we mnie lach, niewiara, silny był lach, — nie dzisiejszy, ale nieżywemu już rozdjąłem skostniałe czeluście... A ot tu widzisz? (za-

kasal szarawary i na obu nogach postrzegłem dawne ślady kajdan) te żelaza wrosły we mnie, tu gnęło ciało i jak onucze odpadało kawalkami. Po-tem rozdarł do reszty koszulę; zrzucił ją i wskazał na plecy. Wzdrygnąłem się na to przeobrażenie... Całe plecy były sine, ale szeroka budowa kości do-wodziła niezwyčajnie mocnego składu i ogromnej siły.

— Cóż laszku, czyś widział kiedy taką cagę? — zapytał mię szydersko, pokazując kolejno plecy, pierś i ręce.—A twarz? nie darmo nazwano mnie Pi-sanką... I szable i spisy i kule i kulaki pomalowa-ły ją tak dobrze, że wygląda jak pisanka. Otóż w Si-czy nazwali mię Pisanką... a jednakże—rzekł, kładąc ręce na kolanach—nie myśl lasze, że byłem taki za-wsze... hej, hej! byłem kiedyś i hoży i ładny... *krot joho matir* — nie było w Smile ładniejszego. Bywało śpiewały mi dziewczęta jak temu Piotrowi:

Oj lyho ne Petruś,

Bile lyczko, czornyj wus!

— Didu, hoj didu! — krzyknął po chwili zamy-slenia, a obacz-no jaki ty teraz harny!

I to rzekłszy, z dziwnym uśmiechem wstało to straszne widmo, przyniósł wiadro z wodą, postawił je między kolanami i zaczął patrzeć do środka.

Tak milczał długo, przewracał głową, naresz-cie przejmującym melancholijnym tonem, w którym śpiewają się wszystkie ukraińskie dumy, nagi, obro-

śły, straszny, oświecony luną ogniska, pochylony nad wiadrem, śpiewać zaczął.

Skończywszy, jakby wysilony padł na wznak i wodząc bezprzytomnie oczyma, mówił jakby do siebie:

— Pannoczko! hołubko, serce! wyrzyj przez okienko... *Postil bila, stina nima, ni s kim rozmow-laty!*... Jak mi teskno było w stepach po tobie!... Czy ty widzisz — rzekł, powstając i wskazując pal-cem na okno chaty—ot, tam w środku—światelko?

— Tam nic nie widać, Pan Bóg z tobą dziadu!

— Tam—breszy zdorow lasze! chodź — pokażę ci przez okno—siedzi panna i wyszywa ręczniczek w srebrne kwiaty... I zbliżywszy się do okna, przy-siadł na kolana i szepejąc śpiewać zaczął:

Oj dla koho toj rusznychok bude...

Czy dla sultana tureckoho,

Czy dla kozaka molodeńkoho?...

Potem zapalił luczywo i zawołał mię do środ-ka. Po lewej stronie była izba mieszkalna dziada, a od prawej drzwi zamknięte na kłódkę. Nestor dobył z kieszeni klucza, otworzył ją i wprowadził za sobą. Zdziwił mnie na wstępie sposób ozdobie-nia sprzętami tej izby. To nie była świetlica ukraiń-skiego chłopca, ale raczej szlacheckie pomieszkanie. Na pokuciu, w węgle izby, zamiast obrazów Miko-laja Cudotworcy i innych, pędzla kijowskich malarzy, któremi zwykle zdobią się ściany ukraińskiego wie-sniaka, wisiał duży obraz cały już szerniały od

starości, w wąskich, widać złoconych dawniej, ramach. Dalej wizerunek jakiejś młodej osoby, robiony bardzo nieudolnie i zeszpecony czasem i wilgocią. Stolik z głęboką szufladą, połamany i okryty pleśnią stał w drugim kącie; pod nim walały się zwitki papieru czy płótna — i oto wszystko co mieściła w sobie izba.

— *Didu*—rzekłem—to nie wasza izba; tu musiał żyć kiedyś szlachcic jakiś.

— Tak, twoja prawda! tu żył lach, o hardy był psiawiara! Dawno to było, oj dawno! a tak mi wszystko stoi w pamięci, jakby się działo wczora. Tyś prawdę mówił, tu niema teraz nikogo! — dodał oglądając smutnie do koła i zbliżając łuczywo do najciemniejszych węglów izby;—tu pustka, tylko są pająki i myszy... Ale ot widzisz ten wizerunek? hołubka moja! jaka ona czarniawa! jaka ładna! — I podniósłszy łuczywo patrzył na obraz — potem zatrząsł się nagle, cisnął łuczywo; ogarnęła nas ciemność i słyhać było konwulsyjne tarzania się starca na ziemi i krzyk rozdzierający duszę.

Zapytałem Demyda kogo i za co on przeklina? ale ten w niczem mnie objaśnić nie umiał; zrobił mi tylko uwagę, iż jeśli chcę dowiedzieć się czegoś, należy wybadać starego póki pijany, gdyż wytrzeźwwszy się milczy jak ściana, nie pamięta co mówił i gniewa się, jeśli mu kto przypomina co *nabrechał*.

Odgadywałem ze słów rzucanych o Smile, o lachu i laszce, o Żeleźniaku, że Nestor należał do hajdamaczyzny, że kochał się w laszce, córce jakie-

goś Mohylskiego, że podobno tego Mohylskiego zgładził ze świata, lecz jakim sposobem i gdzie odbyła się ta ukraińska przygoda, — niepodobna mi było schwycić wątku, ani zebrać szczegółów.

Tymczasem Nestor zostawał pod wpływem ciągłych męczarni. To płakał, to śmiał się, to śpiewał, lub zapominał się i zadumany, nieruchomy siedział na ziemi. Postrzegłem iż rozrzucone zwitki, co się walały pod stołem i w szufladzie, składały się z papierów, a pomiędzy nimi były narzędzia geometryczne i książki. Przy świecy, którą mi przyniósł Demyd, rozpatrzyłem je pobieżnie. Były to listy pisane do komornika Jana Mohylskiego od różnych osób, z datami od 1750 do 1760 roku, treści blahej, o rzeczach potocznych. Były jakieś rachunki, kontrakty na dzierżawę, umowy i t. p., parę nabożnych książek, rysunki, plany, widoki robione dość grubo.

— Czy tobie dziadu potrzebne te szpargały? — zapytałem.

— A one mi na co?

— Ustąp mi je.

— Weź, czytaj je sobie. Słuchaj-no: czy ty bywasz w Czerkasach i Smile?

— Bywam.

— Otóż słuchaj co ci powiem. Z tych papierów nie dowiesz się niczego; ale jeśli chcesz dowiedzieć się więcej, więc przepatrz papiery dawniejsze, co to je spisywał regimentarz Stempkowski, jak mnie, albo nie mnie jednego, ale nas dziesiątków ze sześć, trzymał w łańcuchach. Bywało prowadzą nas



na ratusz: pisarze siedzą przy stołach, a sędzia na przedzie. Lach był srogi, chudy a zły psiawiara — i my rozpowiadamy a oni piszą. A potem nas wieszają przy kołowrotach, albo drą pasy; albo ćwiertują i głowy wbijają na pale: jak w Smile — to na Irdyńskiej grobli, a nogę jedną przy drodze do Żabotyńca, drugą przy drodze do Horodyszcz, a ręce rozsyłają na rozstajne drogi; w Czerkasach zaś, to na czterech węglach bazaru. Hej hej!... — „A rznąłeś — pyta się — lachów?” — „Rznąłem pane! — „A wielu“ — „Nie przeliczę, bo i w Smile i w Łysiance i w Zwynogrodce i Humaniu, a co po dworach i drogach, — to osobno. To lach aż się zatrząsł ze złości. Trzymali nas i badali, aż pókiśmy nie przyznali się do wszystkiego co mieli pod paznogciem nawet, — a wtedy na pal albo na szubienicę.

— Jakże uniknąłeś takiejże kary?

— Ha! uciekłem od szelmowskich lachów, a uciekłem jak zając od zgrai chartów. Potem przez trzy tygodnie wałęsałem się w Moszniańskiej puszczy, a ztamtąd wymknąłem się zagranicę aż do Kosza. Ale tylko ta sława, że liczyłem się w Koszu, bo było mnie wszędzie po świecie.

Nestor zwykle mówił przytomniej, gdy przypominał dzieje własne; lecz skoro wspominał o laszce albo o Mohylskim, wpadał w złość i szaleństwo — i już prawił od rzeczy. Demyd widząc, że to się zanosi na długo, a już była północ, przyniósł do izby wiązkę siana i przesłał na niej mały dywanik a sam wyprosiwszy Nestora, położył się spać w sieni. By-

łem tak zarażony całodziennem polowaniem i upałem, iż pomimo krzyków Nestora, zasnąłem i spałem jak zabity.

Już słońce podniosło się wysoko, gdy wstałem nazajutrz. Dowiedziałem się od Demyda, iż Nestor odplynał przed świtem. Zabrawszy tedy ustąpięne mi papiery, poszliśmy do przystani, wsiedli do łodzi i poświęciwszy kilka jeszcze godzin polowaniu, zawinęliśmy o południu do Hołowiatyna. Przechodząc obok karczmy, postrzegłem przy niej tłum ludzi, i na zapytanie o przyczynę tego zgromadzenia, oświadczono mi, że tu Nestor hula i częstuje gorzalką gromadę.

Powróciwszy do domu, zająłem się niebawem rozpatrzeniem przywiezionych szpargałów. Jakże byłem zadowolony, znalazłszy w nich kilka głównych rysów tej krwawej historii, o której mi napomykał Nestor. Po śladach jakie mi wskazał, doszperałem się reszty w przeszłowiecznych aktach i smutny ten obraz, jeden mały ustęp z tych mnóstwa scen, które się odegrały na Ukrainie podczas ostatniej Koliszczyzny, stanął mi w wyobraźni tak żywo, że mogłem sumiennie, jak wizerunek obrazu, przenieść na papier.

Na brzegu Taśminy, nieopodal od Hołowiatyna, leży mała wioska Hulajgród. Uciepiona do wzgórza zielonego, pokrytego przeliczną dąbrową, odkrywa malownicze widoki na poziome okolice Taśminy, roz-

winiętej wprost przed nią i lasy, co tuż za nią falują po jarach i górach. Niewielka cerkiewka szarzeje tam do dziś dnia pod górą, a przy niej tulą się białe chaty wieśniacze, umajone sadami i lasem. W wiosce tej przed stu laty mieszkał szlachcic, Jan Mohylski. Był on geometrą z profesyi, zjawił się na Ukrainie około 1750 roku, ale z kąd? niewiadomo. Przyjechałszy do Śmiły ubogo, bo wózkami i parą szkap, poznał się z gubernatorem Śmielańszczyzny, Dobrzyńskim, a podczas bytności księcia Lubomirskiego, przedstawiony temu magnatowi, pozyskał od niego domek, pensję, ordynaryę i został użytym do pomiaru obszernych jego włości, jeszcze nie mierzonych łańcachem i nie oznaczonych kopcami. Praca ta zajęła mu lat kilka i przez cały ten czas mieszkał on w Śmiele, całe lato spędzając w stepach i lasach, a zimę na robieniu planów. Był to samotnik, odludek, nigdzie nie bywał i nikt u niego; to też i nie interesowano się jego pochodzeniem, tembardziej, iż w owe czasy Ukraina zaludniała się przybyszami z różnych stron Polski, często bez rodu i nazwiska i nie on jeden był tu tajemniczą osobą. Ci którzy bywali na Wołyniu, mówili, że słyszeli coś o rodzinie Mohylskich koło Lubaru, że on był pono żonatym, miał dzieci, ale czy mu żona umarła, czy go porzuciła, lub też on od niej wydalil się bez wieści, o tem nikt nie wiedział nic pewnego.

Gdy po latach kilku, Mohylski podczas powtórnej wizyty księcia przedstawił mu swe prace, książkę zadowolony z nich i czyniąc zadość prośbie Mohyl-

skiego, dał mu w dzierżawę Hulajgród, na czas nieograniczony. Wioska ta liczyła natenczas niewięcej chat piętnastu, leżała w tak górzystej okolicy, pół uprawnych miała tak mało, drogi do niej były tak złe, że mu ją z tych względów wypuszczano za bardzo skromną sumkę, nawet na tamte czasy, bo za sześćset złotych polskich rocznie, płaconych z dołu. Dochód ten jednakże mógł on wybrać z samych sadów, leżących w tajemniczych głębiach nadtaśmińskich lasów i młyna na grobli taśmińskiej. Młyn oddał on w dzierżawę już od siebie pisarzowi grodzkiemu, Redczyńskiemu, i grobla odtąd została nazwaną przez wieśniaków *pisarską*; a sam zbudowałszy dworek na tem samem miejscu, gdzie i dziś stoi dom właściciela, przeniósł się do Hulajgrodu wiosny następnej, i już odtąd widzianym był w Śmiele bardzo rzadko.

Tegoż roku Mohylski, jak powiadano, otrzymał wiadomość o śmierci żony i udał się na Wołyń, z kąd, po kilkotygodniowej podróży, powrócił z dziewczynką lat dziesięciu, brunetką, ładną, wesołą, która go nazywała tatkiem. Józia więcej bała się, niż kochała ojca. I nic dziwnego, bo Mohylski nie był ujmującym dla ludzi dojrzałych, a tembardziej dla dzieci. Był to już mężczyzna lat około czterdziestu, wysoki, chudy, żylasty, czarnych włosów i oczu. Zimnego wyrazu jego oblicza nie rozjaśnił nigdy szczery uśmiech, ale gniew rozplamiał je w moment. Zdaje się, iż przeciwnie koleje życia wywarły wpływ stanowczy na jego umysł i czarą smutku i niewiary zasłoniły mu życie. Ten

wstręt zamienił on potem w naturę i żywił stale samotnem, jakie prowadził, życiem. Był on milczący, podejrzliwy, ostrożny, w przystępie największego gniewu poskramiał siebie, ale nie zmniejszał zemsty. Raz osnuty zamiar, z dziwnym taktem i obojętnością, przyprowadzał do skutku, a gdy dokonał co zamierzył, znowu oblekał oblicze w ten martwy ale straszny wyraz, którym odstręczał wszystkich. Nosił się ubogo: latem w płóciennym kubraku, zimą w kozuchu, pokrytym szaraczkiem; a dom jego był cichy i pusty, życie w nim tęskne, a święta, odznaczające się gdzieindziej zabawami i wesołością, u niego, nawet między czeladzią, przechodziły w milczeniu i spoczynku. Do takiego-to domu, w ustron najpustynniejszą Ukrainy, z jednej strony ciemnym otoczoną lasem, z drugiej wodą, przeniósł on dziecię wesole, żywe, kazał mu tu rozwijać wrażenia, sympatyje i młodość. Józia z początku tęskniła za gwarem i ludźmi; ale jak dziecię, przywykła prędko potem do tej grobowej cichości i całe godziny przesiadywała zadumana, patrząc na wody i obłoki. Ojciec nauczył ją czytać i pisać, dziewczęta wiejskie dumek i piosnek; baby prawily jej kazki, gdy przędła z niemi w długie zimowe wieczory—oto były jedyne jej rozrywki i zajęcia.

Na cztery lata przed przybyciem Józki, Mohylski przyjął był gospodynię dla domu. Była to kobieta ze Śmiły, imieniem Praksesta, lat około trzydziestu, typu prawdziwych ukrainek, z czarnemi oczami, kruczym włosem, śniadą cerą i ponętami kształtami ciała, pełnemi jeszcze siły i życia. Młodość spędziła ona

w mieście na hulankach przy muzyce i wódce, a że była wesołą, że przepadała za ulicą i karczmą, straciła prędko wstążkę dziewiczą z owocem miłości, tuliła się najprzód po służbach, potem po karczmach, nosząc wodę żydom, a uzbierane pieniądze tracąc w święta na hulankę i muzykę. Mohylski w początkach za jej swawole odprawiał lub batożył ją często; ale przeniosłszy się do Hulajgradu, gdzie już Praksesta nie miała sposobności uczęszczać do karczmy jak w Śmiły, przywykł do niej, oddał jej klucze od spiżarni, potem w zarząd całe kobiece gospodarstwo i co dziwniejsza, tak nieugięty i srogi dla wszystkich, zaczął jej nie przeciwiać się w niczem i znosił cierpliwie krzyki, wymówki i swary. Takie pobłażanie ośmielało Praksestę do coraz większych praw i wymagań, a gdy Mohylski wydal się z domu na kilka tygodni dla zrobienia pomiarów w odległych wioskach, natenczas Praksesta spraszala gości i uctowała z niemi po całych nocach. Wtedy biedna Józka, walając się w piekarni lub sieni, zostawała bez najmniejszego dozoru i opieki, służyła często gościom u stołu i nie raz musiała przespać pod płotem noc całą. Tak upłynęło dla Józki lat pięć. Dziewczyna rosła jak kwiat pustyni i każdy dzień nowych dodawał jej wdzięków. Giętka, świeża, prześliczna, tylko smutna i zadumana zawsze. Syn Praksesty urosł także w chłopca; był żywy, porywczy, sprytny; lecz postrzegala matka, że niema on miłości u Mohylskiego i że tomu tylko świadczy, co sama wymoże na nim. W tak zepsutem sercu, jak Praksesty, nienawiść rozplomienia się prędko,

a raz zapalona, nie gasi się niczem. Dręczyła ją myśl że nie ma dzieci, tego węzła którymby już na wieki przywiązała Mohylskiego do siebie; dręczyła ją także miłość ojca dla Józki, której dzielić nie chciała z nikim—izwyczajem kobiet gminu, zbierała wróżki, przyrządzała czary, napawała niemi siebie, Józki i Mohylskiego, a tymczasem starała się obudzić w Mohylskim nienawiść ku córce, oskarżając ją ciągle. Gdy postrzegła, że usiłowania jej nie prowadzą do rychłego skutku, wpadła na myśl inną. Zbliżyła syna z Józki—oddala ich ciąglemu z sobą obcowaniu, kazała im sypiać w jednej izbie by, wywoławszy tym sposobem skłonność serc, połączyć ich potem. Mohylski, tak przenikliwy zawsze, był zupełnie ślepy na podstępny Praksedy i pozwalał jej rozrządzać swem dzieckiem, jak się jej podoba.

Jednej niedzieli, kiedy Mohylski od tygodnia wydalili się z domu, Prakseda sprosiła gości, najęła muzykę i hulała. Józki ubrała starannie, po ukraińsku. W kucze jej włosy zaplotła mnóstwo kolorowych wstążek, które trzepotały się, jak motyle, do koła białych jej ramion; na szyi zawiesiła obrazki i korale, a biała koszula, szyta w kwiaty na rękawach, rysowała uroczo formy stanika i piersi. Biedna dziewczyna nie mogła pojąć na co jej tak staranny ubiór wziąć zalecono. Sama Prakseda zaplatała *striczkę* w jej kosy i złoconemi kwiatami ozdobiła głowę; ale gdy się przystroiła, gdy spojrzała w zwierciadło, uśmiechnęła się sama do siebie, bo miłość własna szepnęła jej do uszka, że w całej wsi nie było ładniejszej

Syn Praksedy pożerał ją oczyma i na krok nie odstępował przez dzień cały. Prakseda całowała ją, gładziła ręką po twarzy, tuliła do piersi i wieczorem rzekła:

— Słuchaj *doniu!* jak mi zrobisz co dziś każę, to cię będę kochała, będziesz szczęśliwą całe życie. Jak nie, to przeskarżę ojcu i wypędzi ciebie i przepadniesz gdzieś, włącząc się po wsiach jak ostatnia.

— Och, serce, Praksedo! nie przeskarżaj! zawołała Józka ze łzami.

— A zrobisz-że co ci powiem?

— Zrobię—lecz czegoż-to chcesz odemnie?

— Głupia dziewczyno! twojego szczęścia; ale o tem powiem ci wieczorem. I to rzekłszy przycisnęła ją pieśczośliwie, jak matka, do piersi i osypała pocałunkami. Syn Praksedy, siedząc wtedy na zedlu przy drzwiach, patrzył i oczu oderwać nie mógł od dziewczyny, która zdała się być ładną jak nigdy, a serce stukalo mu gwałtownie pod czarną świtką. Postrzegła to matka i niby zwracając na inny przedmiot rozmowę, rzekła do Józki:—Powiedz mi prawdę, czy kochasz ty mego syna?

Dziewczyna zmieszana tak nagle zapytaniem, rzuciła nań wzrokiem i oblała się szkarlatem.

— Ty go kochasz, ja to widzę; a ty synu czy kochasz Józki?

— O mamó! mamó! rzekł chłopiec, drżąc cały; ja ją kocham, jak samego Boga!

Prakseda zadowolona, pocałowała Józki i wyszła z izby, zostawiwszy oboje. Nestor mi później tak

opowiadał ten moment: „Byłem wtedy durnym chłopcem; żadna jeszcze zła myśl nie powstała w mem sercu.“ Ja kochałem tak Józję, że myślałem, iż stoję w ogniu, patrząc na nią. U nas nie całują parobcy rąk dziewczynie jak u was, ale całują w usta, kiedy kochają. Ona siedziała wtedy na ławie za stołem— i była jak obrazek. A gdy, bywało, spojrzęła, gdy się uśmiechnęła, rzekłbyś słonko weszło do pokoju, tak robiło się i widno i jasno. Nie przeciągnęła ona rąk do mnie, nie przyznała się, że kocha, ale popatrzyła tak czule, jak turkawka, i spłotła dłonie na kolanach. Zbliżyłem się natenczas do niej, usiadłem obok i zacząłem łuszczyć nasiona. Ona przeciągnęła swą rączkę—wspąłem na jej dłoń kilkanaście ziarenek i objąłem ją i przytuliłem się i całowałem w usta, jak długo? nie pamiętam... Wtem skrzypnęły drzwi i wszedł chłopiec stajenny, Makar, lat moich, może rokiem młodszy, chytry i przebiegły, o którym mówiła mi matka, że często donosił Mohylskiemu, co się tu robi bez niego. Wszedłszy i widząc siedzących nas razem, zmieszal się i zapytał: czy niema tu pani? (tak zwano moją matkę) wybiegł z izby. Zmieszaliśmy się równie i Józja rzekła:

— Co to powie ojciec jak dowie się o tem?

— Nic, odpowiedziałem, a serce mi jakby zamarło od gniewu.

— Tobie nic; ciebie matka wyprosi, rzekła ze łzami; a mnie bić będzie...

Wypadłem z izby, znalazłem Makara w stajni i rzuciwszy się jak wilk na jagnię, zwałiłem go na

ziemię. Potem nacisnąwszy kolanem piersi, ręką zdusiłem za gardło i rzekłem: słuchaj-no ty psi synu, ja ciebie zaduszę.

— Za co? za co? zmiluj się! charczał Makar.

— Ty podskarżysz pannę...

Ale Makar zaczął się prosić, zaklinać, że nie powie ani słowa; jadł ziemię—błagał mię ze łzami—puściłem go.

Działo się to w tydzień po Zielonych świętach. W liczbie gości byli Dmytro Kulesz, mieszczanin z Czerkas, z żoną: jeden szlachetka, Onufry Janicki trudniący się rymarstwem w Śmile, pijaczyna i włóczęga; pisarzczuk gubernatorski ze Śmily, duży szlachcic, Piotr Łapiński, z którym Prakseda niegdyś w bliższych zostawała stosunkach i jeden sługa kościelny. Prakseda równie była wystrojona od święta; miała na sobie zieloną w ponsowe kosmyki jubkę, głowę zawiązaną w złociste kwiaty chustkę a dziesięć sznurków koralii czerwieniały na białej jej szyi. Pito więc i tańczono w najlepsze; a gdy już podchmielili się wszyscy, Prakseda starała się ugościć przed innemi owego sługę, a nakoniec wyprosiła go do sąsiedniej izby i tam rzekła:

— Rybko moja, serce moje! Czy wy domyślać się, na com tu was sprosiła?

— Nie domyślam się, czcigodna pani - matko! odrzekł nieco odurzony miodem.

— Dam wam co zechcecie, tylko wyświadcicie mi jedną łaskę.

— Cóż takiego?

— Oto wy wiecie moje oplakane życie! Zestarczę się—i nie dziś, jutro, nie jutro, przez rok, nawidzony lach porzuci mię i wypędzi z domu. Pókim ja harna, to i on dla mnie dobry; a gdzież się ja potem obrócę, sierota, sama jedna, z dzieckiem? Mój Nestor już chłopiec dorosły, a laszka ładna dziewczyną i za rok za dwa, pójdzie między ludzie. Jak tylko przewachają w Śmile, że lach ma taką córkę, a wiedzą, że groszowity, to tu naleci jak szarańczy młodych laszków i wezmą ją z przed nosa, bo to zawsze lepiej być panią, jak chłopką. Otóż chcę was prosić, braciszku, dopomóżcie mi! a raczej mojemu Nestorowi, do wzięcia z-laszka ślubu sekretnie. Wam to nie straszno, bo lach nie ma do was prawa, a ja potem wybiorę godzinę, przyznam się mu i lach połaje, pokrzyczy, lecz tem się i skończy. Takim sposobem będziemy sobie żyli razem i byłabym już nie wiem czem, żebym nie pamiętała o was.

Wysłuchawszy takiego zeznania, sługa zamyslił się, puścił z objąć Praksedę i zaczął gładzić brodę. Widocznie zrobiło to na nim wrażenie, ale gdy Praksesta dołała mu szklanke, on ją wypił duszkiem i nie chcąc wydać się z bojaźnią, rzekł żartobliwie:

— Trudna-to sprawa; a co mi dasz za to dobrodziko?

— Dam wam zaraz pięćdziesiąt złotych, a wreszcie drugie tyle.

— Daj mi jeszcze ot tego wiszniaku barylkę.

— Dam serce moje.

— I wiesz co jeszcze? Na lewadzie *hlybokiej* są dwa sadki, co je trzyma Hryćko Bondarczuk ze starostwa—czy wyprosisz je dla mnie na lat dwa bez opłaty?

— Wyproszę—dalibóg wyproszę.

Kiedy sługa jeszcze się namyslać zaczął, Praksesta rzecze:—Przygotowałam już bryczki i konie. Pojedziemy niby do was w goście i tam zrobimy wszystko. W tę samą chwilę, w otworzonym oknie od ogrodu, osłoniionem bzami, ukazała się w cieniach nocy straszna, blada postać Mohylskiego, w białym płóciennym kubraku, z laską w ręce.....

Mohylski jeszcze za dnia powracał do domu po żabotyńskiej drodze. Makar posłany na lewadę po konie spotkał go w lesie i odwoławszy na stronę, opowiedział o mającej być wieczorynce, a razem i o jakichś niedocieczonych zamiarach Praksedy względem Józki. Oburzyło go to nadzwyczajnie i wnetże postanowił ukarać winną. W tym celu zaczekał do późna w lesie, ludziom, którzy z nim byli, kazał zostawić miernicze narzędzia a uzbroić się w różgi i kije, i cicho podstąpił do okien domu. Tu widzieliśmy jak wysłuchał rozmowy Praksedy i zjawieniem się swem przeraził wszystkich. I goście i Praksesta wytrzeźwili się w okamgnieniu. Józka zemdląła i osunęła się na zydel; Nestor zacisnął zęby i kulaki i stał jak martwy. Cisza grobowa nastąpiła po śmiechach i tańcach.

Mohylski wskoczył przez okno i stanawszy pośrodku izby, zimnym wzrokiem powłóczył po towa-

rzystwie. Potem dobył z kieszeni króciutką swą fajkę, nałożył ją, przytknął do świecy, zapalił i rzekł:— Praksedo, bawże gości, a ja tymczasem jak gospodarz rozporządzę się, żeby ich przyjąć godnie.

I to powiedziawszy wyszedł do sieni.

Wnet na głos Mohylskiego zbiegli się ludzie, otoczyli dom cały i kilku z nich weszło do środka. Powiązano wszystkich bez oporu, jeden tylko Nestor wymknął się przez okno, jak sarna.

W zeznaniach Nestora cała ta nocna scena i następujące z nim przygody opowiedziane są w tych słowach:

Wyskoczywszy przez okno, uciekłem w głąb sadu; lecz widząc, że mnie prześlepieno, powróciłem znowu pod okno, wcisnąłem się w krzak bzu i patrzyłem na wszystko, co się działo we środku. Żał mi było za matką i laszką i przeczuwałem, że ich czeka nie dobra godzina. Mohylski lajał wszystkich, matkę zaś moją kazał położyć na środku izby i dwom chłopom chłostać różgami. Każde jej krzyknięcie lazło mi do uszu gadziną i jakby kawałkami odrywało serce... Wściekły, cały trzęsąc się od żalu i złości, chciałem już raz rzucić się przez okno i zadławić Mohylskiego; ale na jedno wspomnienie, że ze mną postąpiłoby równie, odrętwiałem zupełnie... Wtedy postrzegłem, iż obok mnie stał dyabeł z lewej strony, cały czarny i nagi, ze świecącymi się oczami, z ogonem i pazurami, jak u jastrzębia—poglądał na mnie i śmiał się, że aż mróz przechodził po mnie... Ja bałem się zawsze nieczystej siły, ale w tej chwili patrzyłem nań

obojętnie, jakby na znajomego. Jak pies, zdawał się on badać z moich oczu, czem mógłby mi służyć i w tejże chwili, świeca stojąca za oknem na stoliku, zaczęła się zbliżać do mnie i już nie wiem jakim sposobem, znalazła się w mojej ręce... pamiętam tylko dobrze, że sam jej nie wziąłem ze stolika. Poniosłem ją pod strzechę i pomału, z krwią najzimniejszą, przeszedłem od węgla do węgla... Wtenczas mię dyabeł uderzył po ramieniu i rzekł: Idź teraz na szostową przystań, tam przed świtem znajdziesz swoją matkę...“ a sam przepadł z oczu.

Zalazłem w nadbrzeżne oczerety obok łodzi i siedziałem tam, słuchając z wewnętrzną rozkoszą trzasku pożaru i krzyków ludzi. Czarne po górach i jarach lasy, jak dyabli śmiały się oświecanemi łuną pożaru paszczkami, a Taśmina, jak upiór, trupim mięgała blaskiem. Widziałem, jak w dzień, Mohylskiego, stojącego spokojnie na środku dziedzińca i chwytającą się nóg jego córkę. Dowiedziałem się później, iż ów kościelny sługa spalił się wraz z domem.

Przed świtem posłyszałem kroki dwóch ludzi, zbliżających się do przystani. Niesli oni coś ciężkiego w radnie, złożyli na łodzi i zabierali się do odpłynięcia. Wtedy wyskoczyłem z ukrycia i w jednym z nich poznałem Makara. Myśl jak piorun przemknęła mi przez głowę, iż obitą moją matkę niosą, by utopić w splawach—i kijem, co go miałem w dłoni, tak silnie przez pól uderzyłem Makara, że ten spadł z łodzi, jak bodiak od uderzenia kosy. Drugi uciekł, myśląc, że widzi złego ducha, a ja wskoczyłem do łodzi

i odepchnąłem ją od brzegu, a potem, jak łyska, pod oczeretami przekradłem się do splawów.

Matka moja była oćwiczoną od szyi do stóp samych. Krew z niej lala się i zupełnie zwilgotniła radno. Jest na Taśminie wyspa wśród niedostępnych oczeretów, która była niegdyś własnością chłopca z Werhun, lecz od niego kupił ją Mohylski, założył owocowy ogród, zbudował chatę i tam liczną hodował pasiekę. Ścieżkę do niej znał Mohylski, znałem ja, pasiecznik, i bodaj czy kto więcej. Tam często lubiła przesiadywać laszka i matka moja miała zakopane pieniądze. Korzystając z trwogi i zamieszania, jakie panowały w Hulajgrodzie, zawiąłem do tej wyspy, opowiedziałem pasiecznikowi przypadek zmyślnym sposobem, zabrałem wszystkie rzeczy i pieniądze mojej matki. Bielizny była spora wiązka, a pieniądze srebrnych garnuszek. Złożyłem to wszystko do czółna i już chciałem płynąć na brzeg przeciwny, gdy postrzegłem, iż stan mojej matki wymagał rychłej pomocy. Zapłynąłem więc w oczerety, obmyłem moją matkę ze krwi, przewiązałem rany, skleciłem kureń ze trzciny i tam ją trzymałem trzy doby. Ale krwi z niej spłynęło tak dużo, iż chora o samej północy dnia czwartego wyzionęła ducha. Długo siedziałem nad trupem, oganiając owady i robactwo i nie wiedziałem co zrobić z ciałem i co z sobą. Nakoniec następnej nocy położyłem trupa w czółno i popłynąłem do Werhun, wioski leżącej przeciwko Hulajgrodu. Wyciągnąłem go na brzeg, zarzuciłem na ramiona i o samej północy zaniósłem do księdza. Tam położyłem na

przyźbie pod chatą, nakryłem radnem, a sam, podniósłszy okienko huknąłem do chaty: Panocze—ha panocze! Pochowajcie tego oto trupa, który leży u was na przyźbie—i odprawcie Mszę Świętą za duszę nieboszczki—a oto wam zapłata. I to rzekłszy cisnąłem do środka garść pieniędzy, a sam uciekłem do Taśminy.

Dopadłszy czółna, wypłynąłem na środek Taśminy i sam jeszcze nie wiedziałem, dokąd się udam? Dziwna, jak to czasem losy całego naszego życia zależą od jakiegoś małego wypadku! Zjechałem na splawie czapłę i czas niejaki, myśląc zupełnie o czem innym, patrzałem na nią. Potem przyszła mi dziwaczna myśl do głowy, zawróżyć na nią. Dokąd ta czapła polecą, powiedziałem sam do siebie, w tę stronę i ją pomandruję... i oto zerwała się ona, pokrażyła nad Taśminą i pociągnęła za pisarską groblę... Świtało już, i na jasnym niebie wschodu widziałem długo, długo jeszcze, jak leciała po nad rzeką i nakoniec roztopiła się w oczach... Zaraz przeżegnałem się i rozpędziłem łódź moją ku grobli. Wstałem z niej, raz jeszcze rzuciłem okiem na Hulajgród, zapłakałem za laszką,—a potem po nad brzegiem Taśminy udałem się pieszo do Medwedówki, a ztamtąd do Czehryna. W Czehrynie trafiłem na jarmark i ludzie co przyjechali od *Orłowej baliki*, powiadali, że tam zbierają się *burlaki* i chcą iść na Polskę. Zaraz kupiłem rusznicę na bazarze i wprosiłem się do jednego chłopca, ażeby mię podwiózł w tamte strony. Po całodziennym podróży, nazajutrz wjechaliśmy na stepy szerokie, jak



tylko zajrzeć okiem. Oj pierwszy to raz obaczyłem stępy i z początku zajmowały mię one swym bezmiałem, ale wkrótce nawiały tęsknotę... Upał był nieznośny—woły ledwie stępały po drodze—a ja siedziałem znużony, a duma gonila za dumą i serce czegoś bolało, jakby je kto brał w rękę i co moment ścisnął. Zasnęłam — i we śnie widziałem Hulajgród i laszkę z temi wstężkami, w tej samej koszuli, jak była ubraną raz ostatni,—a ja niby przyjechałam na koniu o czterech czerwonych skrzydłach, siejącym ogień, zupełnie jak dyabli malowani w cerkiewnym *prytworze*. Potem niby byłem gdzieś w mieście, takim jak Śmiła, a na bazarze jego rosło żyto bujne i wysokie, które ścinałimy kosami i nakosili dużo... Nakoniec przechodziłem przez jakieś bagnisko, grzęznąc po pas w błocie, z wojskiem niezliczonym jak stada kawek, co to jesienią obsiadają pola—i spotkałimy mnóstwo kobiet, trzępiących konopie. Na żerdziach leżały *powisma* w takim mnóstwie, iż każdy z nas wziął po jednym i starczyły dla wszystkich, a owe kobiety oddawały nam je nie rzekłszy ani słowa... Gdy obudziłem się, pot zimny wystąpił mi na czoło, a serce stukalo jakbym bez oddechu biegł przez łąk cały. O południu stanęliśmy na popas przy kurenieniu stepowym. Pierwszy to raz w życiu, wszedłszy do środka, zachciało mi się wódki, ale pragnieniem takim, iż ubiłbym tego, ktoby mi jej wzbronil. Tam zastałem czterech ludzi, ogorzałych, brodatych, w podartych koszulach i spodniach, pijących za stołem. Zaczęli mię pytać dokąd jadę i ja, podpily, opo-

wiedzialem im wszystko, co zrobiłem już i co zrobię myślę.

— Kupże dla nas wódki, rzekli, a my ci zaśpiwamy piosenkę do snu.

Postawiłem przed nimi flaszkę—oni ją podsunęli ku sobie i częstowali się wzajemnie. Ubodło mię tylko, iż na mnie żadnej nie zwracali uwagi. Gdy wypróznili naczynie, jeden z nich zapytał:

— Cóż teraz myślisz robić z sobą?

— Szukam watażki, rzekłem.

— A jak znajdziesz?

— Pójdę z nim na Polszcę.

— Na te słowa zaśmiali się na głos wszyscy.

— No, a jak przyjdiesz do Polszczy, zapewne wstępisz do laszki, co tam biedna tęskni po tobie?

— Pójdę, żeby zabić jej ojca!

— E—, daj pokój! rzekł inny. Psiawiarski lach, widać zawzięty; dał radę nie jednemu i jeszcze księżowskiego rodu, co to silni i zdrowi, bo śpią na pierzynch, a karmią się knyszami,—toż on ciebie zarznie, jak cielę?

— Łżesz, czortów synu! krzyknęłam w gniewie.

— Łżesz, i ja mówię, dodał inny, niby ujmując się za mną. Ale przyznaj się—no nam kozacze: czy nie obracałeś ty różna na kuchni u jakiego lacha, bo to sztuka lepsza nad inne? Watażka rozsyła chłopców swoich, żeby mu znaleźli takiego rzemieślnika—i znaleźć nie może.

— Różna, jak różna, wtręcił trzeci; ale ja coś zgaduję, że szablą musisz robić jak żołnierz. Był już

u nas jeden taki i przyznał się że opędzając gałęzią muchy od jejmości, nauczył się machać, jak pałaszem.

— Daj pokój! odezwał się znowu pierwszy; dość spojrzeć na niego, żeby się przekonać że *horował* (cierpiał) biedaczysko. Twarz ogorzała, koszula gruba i zasmolona, ręce spracowane, a pleców nie znać od batogów, (a ja miałem twarz białą, koszulę cienką i ręce delikatne).

— U nas-to bracie, życie! odezwał się czwarty; a na Zaporozu—raj prawdziwy! nic sobie nie robisz— a jeść i pić, masz ot dopóty, czego tylko dusza zapragnie. I *prażniki* ciągle. Ale żebyś został przyjęty do kurenia, dwóch potrzeba rzeczy. Najprzód—trzeba umieć grać w *rzemyka*, a powtóre—mieć wąsy. I to mówiąc dobył rzemyka z kieszeni, złożył we dwoje, zwinął w kółko i położywszy na stole, kazał trafić szydłem w sam środek.—Tylkoż chłopcze, nie gramy na wiater—dostań-no pieniędzy. Jak zaczęli mię pić wraże syuy i grać takim sposobem, przegrałem im wszystko, com miał w worku. Wtedy jeden z nich dostał sady z komina, wysmarował nią palec i porobił mi wąsy. Nie pamiętam dobrze co było potem, bo zwaliwszy się na ziemię, zasnąłem; a gdym się obudził nazajutrz, moich towarzyszków już nie było, ja pozostałem bez grosza przy duszy i bez kawałka chleba, czembym mógł głód zaspokoić.

Wtedy mię ogarnęła złość i zastawiwszy ostatnią siermięgę, upiłem się po raz drugi. Jeszczem siedział nad flaszą, gdy z podwórza dał się słyszeć tentent koni i kilkunastu jeźdźców z nahajkami

i spisami, a niektórzy z rusznicami, przewieszonemi przez ramię, stanęli przed karczmą. Ten który wszedł naprzód, był to kozak średniego wzrostu, średniej tuszy, żyłasty, ale chudy na twarzy, wąsy miał rude, niewielkie, brodę rzadką, a oczy przenikliwe i biegające. Żupan na nim z sonej kitajki był dobrze już wytarty, a zbroi nie miał żadnej, prócz sprężystej nahajki, której uderzeniem drzwi otworzył. Postrzegłszy mnie zapytał:—A to co za *pisanka*? Opowiedziałem mu wszystko. Kozak patrzył mi w oczy przenikliwe, a potem rzekł do swoich: Ej czy nie szpieg to tylko?.. Powiedz-no prawdę, bo jak psa cię powieszę. I skroił mię nahajką przez plecy, że aż mi iskry zabłysnęły w oczach. Potem przetrząsniono mi kieszenie, buty, czapkę i gdy znaleziono kawał papieru, w który zawijałem słoninę w drodze, i polskie na nim pismo, wprowadziło mię to w tem większe podejrzenie. Kto wie? możebym zadyndał na wrotach, jeśliby nie przyszło na myśl watażce kazać mi przeżegnać się i zmówić pacierz. Widząc, że modłę się, roześmiał się i rzekł: — No *pisanko*, pojedziesz z nami. Ale czy znasz ty dobrze żabotyńskie lasy? Odpowiedziałem, że znam, bom nie raz wzdłuż i poprzek chodził przez nie z łańcuchem przy Mohylskim.—Zabrać więc go! powtórzył znowu—i od tego czasu zaczęli mię kozacy nazywać *pisanką*.

— Kazano mi wsiąść na konia za plecyma jeźdźca i tak poklusowaliśmy w stepy. Jadąc, dowiedziałem się, iż starszy kozak nazywał się Maksym

Żeleźnak, i chodził z szajką na pograniczne powiaty polskie. Kiedy dziś przypominam sobie jak była wtedy licha ta garstka, jak nie miała obuwia, odzieży, broni ani pieniędzy, to wydziwić się nie mogę; a gdybym nie patrzył na wszystko własnymi oczami, tobym nie uwierzył, że ten sam Żeleźniak będzie miał do tysiąca ludzi, w krótkim czasie zabierze Śmiłę, Zwinogródkę, Łysiankę; że z ogromnem wojskiem podstąpi pod Humań i sprawi tam rzeź, jakiej nie pamiętają ludzie; że nazwie się nakoniec księciem Śmiełańskim i cała Ukraina, na jedno wspomnienie jego nazwiska, drzeć będzie. Ale że to był zuch, to widać było z jego twarzy. Ujchawszy hoń z dziesięć, zwróciliśmy z drogi i przez ogromne burzany pociągnęli w stepy, trzymając się zawsze jarów i bałek a nie pokazując się na górach; z obawy żebyśmy nie zostali postrzeżeni przez elizaweckich pandurów, zostawiliśmy na prawo czutowskie lasy i ponad Ingulcem, o zmroku już, zajechali w jar duży, porosły bodiakami i burzanem tak wysokim, iż koń się w nich skrywał zupełnie. Tu stał tabor Żelaźniaka, złożony z kilku wozów, przy których porobiono z burzanu pokrycia dla ochrony od deszczu i upału; opodał pasły się konie, a przy wozach kilkunastu kozaków leżało lub siedziało, paląc fajki i gotując kulesz w kociołku.

— *Puhu!* kozaki! — odezwał się Żeleźniak, zbliżwszy się ku nim.

— *Z huhu!* - odpowiedzieli mu, ale się nie poruszyli z miejsc swoich.

— Czy powrócił Pańko?—zapytał.

— Jeszcze w nocy, ale śpi ot tam pod wozem.

Rozbudzili Pańka i ten rozmawiał o czemś długo z watażką. Poczem Żeleźniak kazał posiadłać konie i wybrał dwunastu do wycieczki.

Nikt nie wiedział, dokąd udawał się watażka: ale ta nocna wyprawa tak mię zajęła, iż odważyłem się prosić Żelaźniaka, by mi pozwolił należeć do niej.

Bogu jednemu wiadomo com przecierpiał sztyderstw i śmiechu od kozaków. Z rusznicy strzelać umiałem doskonale, ale w życiu mojem nie miałem w ręce spisy. Każdy z kozaków uzbroił się teraz dobrze, a nadto zabrali noże i po pęku powrozów, które uwiązali w trokach. Księżyc nie świecił—noc była cicha ale ciemna. Pańko z Żelaźniakiem na przedzie, a my za nimi sznurkiem, pociągnęliśmy w stepy.

Pewnie była już północ, gdy zjechaliśmy na szlak szeroki i bity, idący z Kremeńczuga do Elizawetu. Wtedy Pańko zsiadł z konia i poszedł naprzód drogą, przypatrywał się jej, coś zbierał i po chwili powrócił.

— A co?—zapytał Żelaźniak półgłosem.

Pańko skinął głową.

— Jedźmyż...

I pojechaliśmy noga za nogą, zastrzegając jak największą ciszę.

Na rozdole, przy strumieniu, postrzegliśmy kilkanaście powózek ruskich, postawionych szeregiem. Spętane konie pasły się nieopodał—ognisko dopalało się, a jakiś człowiek z białą głową stał na warcie. Zostawiwszy konie na opiece dwóch kozaków, zbliżaliśmy się pocichu z nahajkami i powrozami w rękach.

Wartownik wyszedł na spotkanie.

— *Puhu!*—odezwał się zeicha.

— *Z huhu!*—odpowiedział mu Żelaźniak i wskazał palcem na śpiących.

Stróż skinął głową i pantomimami wskazywał, ażeby się wzięto do wiązania.

Gdy kozacy przystąpili do uszpionych pod kożuchami kupców, Żelaźniak tymczasem najspokojniej chodził około wozów i macał towary.

Zostałem sam tylko bezczynny.

— A cóż ty *pisanko?*—szepnął mi groźnie watażka nad uchem i targnął za czuprynę — przyjechałeś łuszczyć nasiona?

Krew mi uderzyła do głowy... obejrzałem się... nieopodal odemnie leżał siwobrody, barczysty, ogromny, z nożem i rusznicą przy boku, człowiek. Jak wilk rzuciłem się na niego—nadeptałem kolaniem piersi i rozwinąłem powróż. Wtem obudzeni kupcy zaczęli krzyczeć, wyrywać się i wszczęło się borykanie, przerywane pruciem noża, dławieniem i śmiertelną chrypką.

Człowiek, na którego rzuciłem się, porwał nóż i, zamachnąwszy nim, zrobił mi szeroką bruzdę przez prawą rękę. Ból przejął mię aż do serca... ścisnąłem zęby—przypadłem jak rosomacha do jego piersi — wcisnąłem mu kulak w gębę i nożem przebiłem szyję na wylot. Podniosłem natenczas oczy i postrzegłem, że Żelaźniak z lulką w zębach stał nademną.

— Dobrze, chłopcze!—rzekł mi— tylko tak odrazu nie należy... ucz się od moich chłopców... oni im

szamotać się nie dali długo. Jak słowo rzec, wszyscy już byli powiązani. Żeby nie słyhać było jęku, wpakowano jednemu czapkę, drugiemu grudkę, innemu kamień w gębę.

Żeleźniak kazał złożyć ich na wozy, pozapręgać konie i, nie zwłócząc ani chwili, ruszyliśmy w stępy. Zajechawszy w najbliższą bałkę, zatrzymaliśmy się w burzanach i zaczęli przetrząsać kieszenie i towary. Tu wszczęła się kłótnia między kozakami o podział, i skończyłaby się pewnie bójką powszechną, gdyby Żeleźniak, skroiwszy nahajką tego i owego, nie uciszył ich takim sposobem.

Przypadek zdarzył, iż w trzosie zarzniętego przezemnie człowieka znalazło się najwięcej pieniędzy. Żeleźniak dał mi z nich garść całą, a resztę zsywał do kupy na przeslaną na ziemi burkę. Potem kazał nam ostąpić go dokoła i, po kolei, dawał po garści każdemu. Gdy obdzielił wszystkich, dawał po drugiej, aż rozdzielił wszystko. Nareszcie wypiliśmy wódkę, ile jej było; poczem Żeleźniak kazał czterem z nas przyodziać się w kolorowe koszule i kaftany i wysłał ich z temiż powózkami do Elizawetu, zalecivszy uprzednio wykonać przysięgę na Krzyż święty i zjeść ziemię, jako nie zatają nic z tego co wezmą od sprzedaży.

Później już dowiedziałem się jakim sposobem kupcy ci wpadli w ręce nasze. Pańko Bezhubyj, z drugim Oleksą Szulakiem, co to później sam został wiadomym watażką, będąc w Kremeńczugu, dowiedział się, iż siedem powózek kupieckich ma wyjść

do Elizawetu. Oleksa najął się do nich za przewodnika, umówiwszy się uprzednio z Pańkiem, gdzie ma zaprowadzić Żeleźniaka; że będzie sypał po drodze harbusowe nasiona na znak, iż przeszedł po niej, a na noclegu, stojąc na warcie, zawiąże białą chustką głowę.

— Pierwszy to raz w życiu rznąłem człowieka jak kurę—mówił mi potem Nestor—a choć serce zapiekło się we mnie od czasu jak wpatrzyłem się w pokrajany różgami trup mojej matki, ale straszno zrobiło się w duszy... Świat boży przemienił mi się w oczach, i nie wiem cobym dał za to, żebym znowu mógł zostać czysty jak byłem pierwiej. W koszuli latałem po stepach, a zdawało mi się zawsze, że jakiś ciężar noszę z sobą... Pamiętam — zostawiwszy trupy na pastwę wilków i szulaków (bo nie zakopywaliśmy ich nigdy z tej przyczyny, że zakopany mógłby być znaleziony i poznany, a ptaki i zwierzęta objedzą ich tak, że śladu nie pozostanie), zabrnęliśmy w step dalej od drogi. Obawiając się napadu, spaliśmy zawsze takim sposobem: konie, jeden lub dwóch z nas, odprowadzali opodal, a my rozchodziliśmy się na wsze strony i kładli się w burzany osobno. Moi towarzysze zasnęli natychmiast, a ja leżałem — tarzałem się — i zasnąć nie mogłem. Słońce już podjęło się wysoko — nastąpił upał i wiatr taką na mnie nawiał tęsknotę, żem, siedząc na ziemi, rozplakał się jak dziecię... ale był to mój płacz i ostatni!... — Już nie powróciliśmy na to samo miejsce, zkad wyszli; lecz obóz nasz znaleźliśmy przeniesionym

bliżej ku Dnieprowi. Obawialiśmy się, żeby kozacy, wysłani z towarami, gdyby ich pojmano przypadkiem, nie wydali na torturach miejsca pobytu i zawsze nikt z nas, prócz Żeleźniaka, nie wiedział miejsca koczowiska. Ale i towarzystwo nasze nie zawsze trzymało się kupy. Dostawszy cokolwiek pieniędzy, wnet rozłazili się po traktach i wszystko, co mieli, przepijali w pierwszym na drodze szynku. Żeleźniak wszystkich rozpuścił na dni dziesięć i mnie tylko zostawił przy sobie.—Od tego czasu zaczęło się bujne moje życie na stepach i w rozbojach. Opaliłem się—rece mi zgrubiały, nauczyłem się robić pałaszem i spisą, kraść tabuny i zwiedziłem stepy aż do Jedyczkulskiej hordy. Na Zaporozżu bywaliśmy nie często, a raz tylko w Koszu.

Żeleźniak, chociaż należał do kozaków Tymoszewskiego kurenia, wraz z rodzonym swym bratem, nie widziano go nigdy w Koszu ani pałance. Nikt z Zaporozców nie wiedział, gdzie się obraca przez całe lato; zimę zaś często przesiadywał u ojca w jego zimowniku nad Hromokleją.

Ojciec jego był to Zaporoziec jeszcze z tych dawnych Zaporozców, co pamiętali Sierka i zburzenie Czehryna.

— Synu — powiedział Maksymowi razu jednego, gdy mu ten przywiózł lackie aksamity i sukna, — pohany to gościniec, nie po kozacku ty robisz! Ja byłem Zaporozcem, a ty podobno zostałeś hajdamaką. Ja w czystym polu i w dzień biały dobywałem zdobyczy, a ty obdzierasz kupeców i żydów nocą, w ko-

morach i na drogach. Het' z oczu, nie dowódź mię do grzechu, bo jak psa cię zabije!

Od tego czasu nie byliśmy tam więcej. Za to w pałance mieliśmy dosyć takich, którzy chodzili z nami na Polszczyę i podmawiali innych.

Upłynął rok cały mojej u Żeleźniaka służby. Szajek u nas było kilka, ale w różnych stronach: jedna pod lebedyńskim monasterem, druga w motroneńskich lasach, a trzecia w czutowskich, w Serbii. Tamte napadały na dwory lackie i na żydów, a ta na kupców i tabuny.

Pod jesień, zaczęły dochodzić do nas słuchy, że gubernator humański, Mładanowicz, z setnikiem Gontą, dużo przełowili hajdamaków i na pal powbijali, a konfederaci dochodzili aż do starostwa czehryńskiego. Że to była prawda a nie bajka, przekonaliśmy się ztąd, iż z szajki naszej lebedyńskiej trzech tylko pozostało.

Dowiedzieliśmy się, iż lacki ksiądz Kostecki był w Śmile i rozkazał gubernatorom porobić wszystkich chłopów do Wielkiejnocy unitami. Zaczęli zjeżdżać się do nas ze wszystkich stron księża, byli mieszczańscy i Zaporozcy, a z narad i często przesyłanych listów zgadywałem, że się zanosi na coś większego niż było dotąd.

Drugiego tygodnia Wielkiego postu kazał mi Żeleźniak jechać do Śmiły i tam, zostawszy niby *najmytem* u ojca Nikifora, podmawiać lud do buntu. Oj, jakże ja byłem rad temu zleceniu! Wiedziałem już, że Laszka od spalenia się domku Mohylskiego bawiła

w Śmile na zamku u gubernatora Dobrzyńskiego; że już przestała nosić nasz ubiór, a przywdziała lackie suknie, że wyrosła i wyładniała, a chociaż przeczuwałem, iż przez to samo stracona dla mnie na zawsze, ale serce ciągnęło mię tamtędy, żeby ją choć obaczyć, żeby choć być tam, gdzie jest ona... To tęskniłem za nią, to znowu kłąłem ją na czem świat stoi, a za co? sam nie wiedziałem, bo cóż mi ona zrobiła złego? Już siodłałem konia, gdy Ihumen otworzył okno swojej celi i skinął, żebym szedł do niego. Tam on zaszczepnął drzwi i zeicha, ale z rozplomienionymi oczami rzekł do mnie:

— Synu, nad głowami Lachów zbierają się chmury... Biesów ksiądz Kostecki, dokażę mu, nie będzie tu pracował! Jak nie wyrzniemy ich, to oni nas puszcza z torbami... Zaporozce obiecało nam pomoc, a pan Żeleźniak będzie hetmanem Ukrainy i będzie jak było po dawnemu! Wszyscy są z nami, ale nam trzeba więcej ludzi orężnych, a w Śmielańskim zamku jest milicyi i żołnierzy ze sto. Otóż siedź tam — podmawiaj wszystkich i przygotuj na dobry koniec sprawę naszą!

Zaledwie Nestor wyszedł z izby, gdy przed ganek zajechała kryta, zielona bryczka, czterema zaprzężona końmi, i wyszedł z niej mężczyzna lat około czterdziestu, o dużych czarnych wosach, w kożuszku siną pokrytym kitajką, a z nim dwie kobiety: jedna niemłoda, druga w samym kwiecie wieku, z czarnymi oczyma, na które, gdy spojrział, Nestor zbladł jak ściana, bo poznał z nich córkę Mohylskiego.

Józia spojrzała mu w oczy, przechodząc obok, ale go nie poznała. I nie dziw; Nestor już nie był tym młodym, ładnym chłopcem, jakim go przywykła widzieć w Hulajgrodzie. Od tego czasu upływał rok trzeci, a stepowe życie pod słońcem i na wiatrach zmieniło jego oblicze, opaliło je i usta czarnym pokryło wąsem.

Nestor przystąpił do furmana i wszedł z nim w rozmowę.

— Kto to przyjechał do ojca Ihumena? — zapytał.

— Chybaż ty nie tutejszy? — rzekł furman — pułkownik Kwaśniewski z Mielnikówki.

— A te panie?

— Jedna żona pułkownika, a druga Laszka ze Śmily, córka Mohylskiego.

— Dokąd-że wy jedziecie?

— Do Śmily, odwozimy Laskę do ojca.

— Cóż ona u was robiła?

— Nic nie robiła; at siedziała sobie taj hody! Pani nasza często ją bierze do siebie, żeby samej nie było tęskno.

— A jak w Śmile, to gdzież ona mieszka?

— Na zamku u gubernatora; bo i stary teraz częściej przesiaduje w Śmile niż w Hulajgrodzie. Od czasu jak mu dom się spalił wraz z księżmi, powiadają, że w nowym coś tłucze się, że ani sposobu tam mieszkać. I ksiądz święcił, ale nic nie pomaga.

— Cóż to, że ona dotąd nie wyszła za mąż?

— A czart ją tam wie — odbąknął furman obojętnie, głupowatym okiem patrząc na Nestora: —

dziewka hoża; Lachów w Śmile dużo, szczyrzy do wszystkich zęby.

Nestor tymczasem osiodłał konia i po chwili skrył się w gęstym lesie, co się rozścielał od bram monasteru do Żabotyńna. Gdy ujrzał się samotnym, wstrzymał wierzchowca, zwolnił mu cugle; koń poszedł stępą, a on pochylony na siodle dumiał a dumiał. Jakoś mu tak dziwnie cała przeszłość ocknęła się w pamięci, że zebrać wrażeń swych nie umiał.

— Nie, — rzekł nakoniec do siebie, a oczy mu niezwykłym zapalały blaskiem; — nieżyć mi z Laską... ona niewinna i czysta... a ja... o gdzież wy moje młode lata!

Nestor, przyjechawszy do Śmily, stanął w domu ojca Nikifora, i wieczorem udał się na miasto. W karczmie zaznajomił się z żołnierzami zamkowymi, ucęstował ich gorzalką i miodem i hulał z nimi do północy. Przyjaciele ojca Nikifora zaprowadzili go nazajutrz do swych znajomych; do szlachty i bogatszych chłopów; ci nawzajem odwiedzili Nestora — i niespełna w tydzień poznali go wszyscy mieszkańcy Śmily. Parobcy go szanowali i słuchali, a dziewczęta przepadały za nim, bo i pił dobrze i grał na teorbanie, a tańczył, że aż miło. Podczas wielkiego postu nie chodzono na ulicę, ale za to były wieczornice i doświtki, na które w umówionym miejscu zbierała się młodzież, i gdy dziewczęta przędy lub szyły, chłopcy tymczasem zalecali się, przygrywali na sopilkach i teorbanach. Nestor rej wodził wszędzie, a dziewczęta hurmem zbierały się w to miejsce,

gdzie on bawił, i niejedna zazdrościła szczęśliwej rówieśnicy, z którą on poszeptał za przelazem.

Lecz jedna była tylko dziewczyna, do której Ignął bardziej. Była to młoda Ukrainka, Oksana z Hulajgrodu, służąca Józii Mohylskiej. Dla niej on sprawiał wieczornice, najmował muzykę, słowem, robił co mu kazała i zawsze był gdzie ona.

Kiedy tak dokazuje Nestor, i w tych hulankach usposabia młodzież i żołnierzy do nieposłuszeństwa i zemsty nad Lachami, tymczasem w zamku nikt nie domyślał się gotującej się burzy i Wielki post spędzono na modlitwach. Nakoniec nastąpiła Wielkanoc. Wielkanoc na Ukrainie to święto najuroczystsze, najweselsze ze wszystkich świąt dorocznych. Każdy, od wieśniaka do pana, gotuje wtedy co najlepszego na stoły i stroi się w nową odzież. „*Chrystos woskres!*“ brzmi we wszystkich ustach i zastępuje zwykłą formułę powitania. Zamieniają pisanki i kraszanki i całują się po trzykroć w usta, starzy i młodzi, parobcy i dziewczęta. Ulice do późnej nocy przepelnione są ludem strojnym w jaskrawe szaty, snują się korodowami parobcy i dziewczęta, a pieśni i teorbany brzmią na rynku i het po wszystkich zaułkach miasta. Zamek magnata i uboga chata wieśniaka, ubielone, umiecione natenczas, i wioski, z rozkwitającymi sadami wyglądają jak wianki zielone różnobarwnem przeplecione kwieciami.

Na zamku Śmielańskim było równie uroczyście i wesoło. Zrana po Mszy, udali się wszyscy mieszkańcy Śmily i goście do gubernatora Dobrzańskie-

go na święcone. Tam już stół, zastawiony obficie ciastami, oczekiwał gości. Między mnóstwem kontuszów z wylotami snuły się mundury kawalerii narodowej i milicyi nadwornych panów polskich z Korsunia, Humania i Łysianki. Z pomiędzy pierwszych, odznaczał się młody towarzysz chorągwi pancernej, Jan Niezabitowicz, brat żony pułkownika Kwaśniewskiego, przybyły z Hulajpola. Oddawna dojeżdżał on do Śmily, bo serce ciągnęło go do młodej Mohylskiej, pięknej jak róża, giętkiej i wysmukłej jak topola. Kochała go i dziewczyna, bo jak nie kochać chłopca z takimi czarnymi wąsikami, z twarzyczką co jak krew z mlekiem i w mundurze świecącym od stali i złota?

Jeżeli nasze dziewczęta ładne są w każdy dzień powszedni, to któż nie wie, że sto razy piękniejszymi się stają podczas każdego święta, a cóż dopiero, święta takiego, jak Wielkanoc? Od uszka do paluszka na nóżce, i sukienka i ciałko, wszystko tam czyste, świeże i wychuchane. Biała sukienka Józii i kilka kwiatów na czarnych jak heban włosach, ujęły tę giętką postać i tę uroczą twarzyczkę w ramki, nad które nic już nie można było wymyślić piękniejszego. Czarne oczy o długich rzęsach tak ujęły chłopca, że ciągle wzrok swój zwracał ku nim. Co się z nim działo, co on czuł, o czem marzył wtedy? — wy to wiecie, moi drodzy przyjaciele, którym Bóg pozwolił kochać i być kochanym przez takie jak Józia istotki. Pułkownikowa Kwaśniewska umiała poznać się na wdziękach i przymiotach Józii, a pokochawszy ją



jak córkę, szczerze pragnęła ożenić z nią brata. Łątwo jej przyszło zbliżyć ich ku sobie, i nie potrzebowało namowy, ażeby wzajemne rozbudzić w obojgu uczucia. Nasz młody rycerz, od pierwszej chwili poznania, zakochał się zapamiętale; bo jeszcze nie widział w życiu swoim tak pięknych oczu, nie słyszał tak dźwięcznego głosu; a Józia, raz pozwolewszy sercu rozpatrzeć się bliżej w marzeniach, które lubiła przywoływać ku sobie, ani się spostrzegła, jak poddała się ich tajemniczej potędze, i już odtąd żyła pod ich wpływem. To była miłość dwojga serc czystych, młodych, silnych nie ideałami poczerpniętymi z poetów i ksiązek, ale uczuciem wyczerpniętym z siebie, zgotowanym w łonie pod tajemniczym wpływem ukraińskiego nieba, rozkwitłem z takąż siłą i wdziękiem jak kwitną stepowe obszary i lasy. To była miłość, jakiej dziś niema już podobno między nami, bo niema w nas samych; ta prosta, silna, co pysznym rozkwitała kwiatem i jędrnym zdołała się owocem. Objawy jej, jak chcecie, dwojako uważać można. Piękne są i czyste, lub śmieszne i naiwne—dla widza. Było w niej życie, choć może zbywało na artystycznej formie; dziś — wiele w niej szlachetnego wdzięku, zamalowało życia.

Trzeciego dnia świąt, już o zmroku, Kwaśniewska z Józją weszły do swego pokoju w oficynie zamkowej i usiadły przy otwartym oknie.

— Czy ty długo, swawolnico, będziesz mi męczyła mego chłopca? — zapytała Kwaśniewska Józję, śmiejąc się i przegartując krucze jej włosy, spadające na czoło.

— Ciociu, serce, to on mnie męczy... — szepnęła Józia, całując namiętnie jej rękę.

— Co ty pleciesz? przyjechał chłopiec jak róża, a teraz choć puść go z wiatrem. Niech-no mi, broń Boże, zacnoruje, jak ciebie Kocham, wyjadę i nie wrócę nigdy.

— Ja prędeż zachoruję... — skarżyła się dziewczyna—bo ciocia im wierzy, a oni często udają i miłość i chorobę.

— Ach ty nie dobrego! masz-że ty sumienie posądzać o takie bałamuctwo mego brata?

Józia uśmiechnęła się, przycisnęła główkę do piersi pułkownikowej i, patrząc jej w oczy, szeptała z zadowoleniem:

— Doprawdy, ciociu, zdaje mi się samej, że nie na żart zbałamuciałam chłopca. Mnie wczoraj aż śmiech brał pusty, patrząc, co się z nim działo, gdy mu zaśpiewałam: *Kotylysia wozy z hory; a w dołyni stały; lubylysia, kochatysia, teper perestaly!*

— Patrzej mi! wszyscy mówią: skromna dziewczyna, trzech zliczyć nie umie, a ona bałamuci chłopców, jak Warszawianka! Powiedz-no mi, czy ty nie kochałaś nikogo?

— Nikogo, moja ciociu! 'Kogóż miałam kochać w tej głuszy, w Hulajgradzie? Moje tylko różę. com je własną ręką sadziła w ogródku przed oknami — i zamyśliła się.

— Ej czy tak?

— Jak ciocię Kocham...

— A zkadże zaszła ta awantura z Praksedą?

Wszak to głośno o niej mówiono wszędzie? A tenże koczek?

— Ciociu, serce, a grzech wygadywać niestworzone rzeczy!—rzekła Józia, ujawszy pułkownikową za obie ręce i z żalem patrząc jej w oczy. — Czyż to ciocia nie wie, jak mnie tatko chował do lat 15-tu? Taż ja chodziłam w świtce i zapasec, ze wstążkami na głowie, jak teraz moja Oksana! Ja byłam wtedy taka głupiuteńka, że aż mi wstyd, jak przypomnę sobie te lata.

— Jaki dziwak twój ojciec! Żeby nie ten wypadek, kto wie co dziś byłoby z tobą?

— Ach ciociu, nie gadajmy o tem! aż mi straszno, jak przypomnę ten pożar...

— Wszystko to tak — ale ja powinnam myśleć o tem, bo tu chodzi o mojego brata. A może ty, balaмутko, dałaś temu parobkowi słowo, a on gdzieś zemknął, może zrobił się Zaporozcem albo hajdamaką i powróci upominać się o narzeczoną?

Wtem jakiś szmer dał się słyszeć z alkierza, na który mimowolnie obie wzdrygnęły się kobiety. Już ściemniało — w pokoju nie było świecy — ale wszedł Niezabitowicz i obawa znikła.

Któż z was, moi słuchacze, nie doświadczał uroku tej szarej godziny z kochanką sam-na-sam? O jak wtedy błyszczały dla szczęśliwego Jasia oczy Józii! jak na tle ciemnem bieląło łono, jak głos jej dźwięczny wibrował w powietrzu? Rycerz nasz był w siódmym niebie i co chwila obsypywał rączkę dziewczyny cichemi pocałunkami, to odbierał swawolnie uści-

— A Laszek?

— I Laszek dobry.

— A panna czy kocha go?

— Oj i bardzo!

— Pokaż mi, Oksano, swoją pannę?

— Nawidzony!—rzekła Oksana—co tobie przyszło do głowy? Jak się obudzi a obaczy, to przestraszy się na wieki, a mnie stary czart na śmierć zaćwicz.

—Nie bój się—rzekłem—ja umiem zamawiać sen, że się nie obudzi. I, nie czekając zezwolenia Oksany, otworzyłem cichutko drzwi od alkierza i na palcach zbliżyłem się do łóża Laszki.

Spała ona snem twardym, leżała bokiem, jedną rękę podścieliła pod skroń a włosy przesywały się z ramion na piersi i prawie całe zasłoniły oblicze, tylko ramię bieląło i centka dziewiczej piersi wyzierała przez sploty. Ogarnęła mię namiętność tak gwałtowna, że aż skry wysypały się z oczu. W zapamiętaniu pochwyciłem ją oburącz, położyłem wznak i odrzuciłem na bok włosy. Oksana w tej chwili porwała mię za czuprynę i szepnęła:

— Het! nie ruszaj jej, bo zadławię cię, biesów synu!

Laszka spała snem pierwszym, tak mocnym, iż nie obudziło ją nagłe poruszenie. Wyjąkała tylko przez sen słów kilka, położyła rękę na piersi i znowu zaczęła oddychać spokojnie. Mój Boże! co się ze mną działo, kiedy spojrzeł na jej oblicze i przypomniały się mi te same rysy, też koralowe usta, któ-

re pocałunkami okrywałem niegdys!... Patrzałem w nie, patrzałem, i oczu oderwać nie mogłem... twarz moją tak zbliżyłem do jej lica, że już oddech jej czuć zaczynałem... wtem nagle poruszyła się, pchiknęła kilka razy jak dziecię i otworzyła oczy... Zniknąłem w okamgnieniu.

Oksana wbiegłszy za mną do alkierza, stanęła naprzeciwko i, załamując ręce przed samym moim nosem, od złości i zgrozy słowa wymówić nie mogła.

— No, czegoż się gotujesz jak ukrop? — rzekłem. — Widzisz, nic się nie stało?...

— Ach ty szelmo, gadzino, rozbójniku! — szypiała mi Oksana, — co ty sobie myślałeś? czy ty przy swoim rozumie?

Długo zła dziewczyna nie dała się przeprosić, aż gdy przyrzekłem jej, że już podobnego głupstwa nie zrobię więcej, uspokoiła się cokolwiek. I już się nie gniewała, już mię objęła, pocałowała, a jeszcze kilka razy, jak niby ją czart napadał, odpychała mą rękę nagle od pazuchy i niemiała, że słowa doprosić się nie mogłem.

Nazajutrz znowu wieczorem na rynku i ulicach zabrzmiały teorby i dały się słyszeć okrzyki i śpiewy. Nestor, zebrawszy kilkunastu parobków, wynajęwszy muzykę, z dzikimi okrzykami przechadzał się po mieście — i zbliżył się nakoniec pod bramę zamkową. Że to nie było przedtem we zwyczaju i uważało się za nieposzanowanie dla pana wykrzykiwać hajdamackie pieśni pod oknami, gubernator wysłał kozaka z rozkazem, żeby się oddalono; ale Nestor, dobrze już

pijany, odpowiedział śmiechem i pogrózkami, a nareszcie, zwabiwszy Oksanę, pomimo jej próśb i płaczu, otoczył ją kołem parobków i wraz z innymi dziewczętami uprowadził na miasto.

Miał gubernator setnika z dawno zamieszkałej w Śmile szlachty, nazwiskiem Podhalskiego. Dowiedziawszy się o tem, co zaszło, kazał mu wziąć dwudziestu kozaków i złowić herszta pijanej bandy. Dogonił setnik Nestora w samym mieście i schwycić rozkazał; ale wnet wszczął się rozruch, kozacy zamkowi spełniali rozkaz jak nieżywi a setnik, okrażony przez tłum rozjuszonego chłopstwa, obity i odarty, ledwie z życiem zemknąć potrafił. Lecz na wieść o rozruchu i bójce, wysłał gubernator resztę milicyi, którzy pochwycili Nestora wraz z kilkunastu jego towarzyszami i przyprowadzili do zamku.

— Oto herszt! — krzyczał setnik, wskazując Nestora.

— Ktoś ty? — zapytał gubernator.

— Nestor Pisanka, Zaporoziec!

— Nestor? — powtórzył przytomny temu badaniu Mohylski i podniósł latarnię do jego twarzy. Patrzył w nią długo — jakby sobie coś przypominał, a potem zapytał:

— Zkąd ty hultaju?

— Z Hulajgrodu, — odrzekł zimno i zuchwale Nestor.

Latarnia wypadła z rąk Mohylskiego; lecz, opamiętawszy się, rzekł do przytomnych:

— On kłamie! był tam w istocie jeden hultaj

Nestor, ale zbiegł oddawna i zapewne wisi już gdzieś na szubienicy. Darmo cudzem pokrywasz się imieniem; ja cię od kijów zasłaniać nie myślę.

— To ty łcesz, Lasze! — krzyczał Nestor, gdy mu krępowano ręce. — Obaśmy dobrzy, tu tacić się niema czego. Znasz ty mię dobrze, ja ciebie jeszcze lepiej. Tyś zaćwiczył moją matkę, a jam dom twój spalił. Ale poczekaj trochę; będziecie się wy przyznawać do nas nie tak...

Wtenczas Mohylski, blady i trzęsąc się od złości, przystąpił do Nestora i wyciął mu policzek. Powrozy zatrzeszczały w rękach Nestora; lecz nie mógł ich przerwać — i wzrokiem, w którym skupił całą potęgę ujarzmionej zemsty, przeszył on do głębi Mohylskiego.

Gubernator, widząc zapamiętałość obu, wziął za rękę Mohylskiego i, odprowadziwszy na stronę, rzekł:

— Daj pokój! to jakiś łgarz albo wielki zbrodniarz. Jutro wybadamy go lepiej.

Setnikowi zaś rozkazał odprowadzić go do kordegardy, nałożyć kajdany i pod mocną strażą zatrzymać do jutra.

Jeszcze nie rozszedł się tłum ludzi, których zebrała ta scena, gdy z kordegardy dały się słyszeć gęste razy kijów, które jednakże najmniejszego nie wywołały jęku. Tam już setnik oddawał za swoje.

Jakkolwiek podobne wypadki nieposłuszeństwa zaczynały być częste w Śmielańszczyźnie,

wszakże zuchwale pogróżki Nestora zrobiły wrażenie na wszystkich. Józia tylko nie wiedziała o niczem i wesola udała się na spoczynek do swojego pokoju. Tam ją płacząca spotkała Oksana.

— Czego ty płaczesz? — zapytała strwożona.

— Pani, serce, *hołubko!* — rzekła dziewczyna i padła jej do nóg. — Obrońcie mię, zasłońcie! Pan jak dowie się, zaćwiczy mię na śmierć.

— Cóż takiego? ja nie wiem o niczem.

I po wielu prośbach, po długim szlochaniu, rozpowiedziała co się stało. Biedna Józia strwożyła się bardzo. Cała ta krwawa scena, której w młodości swej była świadkiem, stanęła jej żywo w pamięci — i rzekła, drżąc cała:

— Oksano serce, nie odchodź ty odemnie... ja się boję i czegoś mi straszno.

Oksana usiadła na ziemi u progu, przesłała świtkę, i kiedy panna jej, leżąc na łóżku, z twarzą opartą na dłoni, słuchała opowiadania Oksany o poznaniu się jej z Nestorem, — jakiś szmer dał się słyszeć za oknem.

— Zgaś świecę, Oksano — szepnęła Józia — i obacz czy zaszczepnięto okno.

Oksana zdmuchnęła płomień i tylko co się zbliżyła do okna, gdy ktoś z drugiej strony rozwarł je cicho i ogromna, czarna postać wskoczyła do pokoju.

Oksana i Józia krzyknęły razem i zemdląły. Hajdamaka zbliżył się do łóżka Józii, porwał ją na ramiona, narzucił burkę i wyskoczył. Na krzyk powstała Oksana, zbiegli się domownicy, zbudzono za-

mek cały, narobiono gwałtu, krzyku, ale nie złowiono nikogo. W kordegardzie strażnicy spali pijani, a inni zniknęli wraz z więźniem.

Gdy to dzieje się w zamku, my pośpieszmy za Nestorem.

Powiedzieliśmy już, iż, bawiąc w Śmile, Nestor buntował chłopstwo i podmawiał załogę. Do świąt ostrożnie i trzeźwo robił swoje; ale po awanturze, jaka go spotkała na zamku, wytrzeźwiwszy się, poznał, że źle z nim być może; więc podmówił kilku ze straży i zemknął z nimi razem.

Gdy ręce mu uwolniono z kajdan, gdy poczuł się swobodny, zemsta do Mohylskiego zawrzała w jego piersi. Potem Laszka stanęła mu w oczach taka wesola i ładna, to znowu tak bezpiecznie śpiąca, jaką ją oglądał po raz ostatni. I komnata jej była tak medaleko... oto tam błyszczało światelko przez bzy i firankę — tam, w tym rogu, jej łożo... na dziedzińcu było cicho i ciemno.

— Pójdę, obaczę ją, obaczę i schwycę — pomyślał Nestor. — Mohylski nie ujdzie rąk moich: jedno dobre uderzenie obuchem skończy z nim wszystko, a jak się zawieruszy Ukraina, wtenczas nie czas będzie myśleć o dziewczynie i albo ją zabiją, albo wywiozą i stracę ją na zawsze.

Ta chwila jego czynu dyszy szczególnem uczuciem miłości i zemsty.

— Taszczyłem ją — powiadał mi — na wózku popowicza, zaprzężonym parą dobrych koni, a pędziłem ile mogły wyskoczyć. Obok niepokoju o pogoń,

ciągle mi stało w myśli: co powiem jej jak przyjdzie do siebie? Jakoś tak się to stało wszystko nagle, zem nie był zupełnie przygotowany na coś podobnego. Wyjechawszy za groblę, zostawiłem na prawo żabotyńską drogę, a wzięłem się na lewo, szlakiem na Buzukowiec. Zgadywałem, że pogoń nie uda się tamtędy i że tam zajadę w jary i lasy, gdzie mi skryć się będzie łatwo, bo znałem je od dzieciństwa mego. Laszka leżała na moich rękach bezwładna i blada jak kreda, a mnie przejmował dreszcz, ile razy spojrzalem na nią.

— Na co ty wzięles tę *polani*? — mówił mi popowicz — i ja kłamałem przed nim, różne wymyślając przyczyny. Raz żalowałem tego czynu, to znowu cieszyłem się, że nie dostanie się Niezabitowiczowi, temu hardemu Laszkowi i że ją wydarłem Mohylskiemu. Słowem, byłem jak nie swój, i już wreszcie chciałem czekać na drodze pogoni, ażeby ją sobie wzięli do czarta, a ja żebym mógł porąbać się z Laszkim, tak, żeby go tu dyabli wzięli zaraz. Serce mię zaczęło boleć, jak już dawno nie bolało — i zachciało mi się znowu wódki, że rozstąpi się ziemia. Napadłem w Buzukowcu na szyneczek i wypilem dwie kwarty odrazu. Czulem, że mi oczy zabłyszczały i jak wilczyca swych dzieci, tak jej bronić byłem gotów. Objąłem — przycisnąłem do piersi i tak jechałem dalej. Zaczęło nam świtać pod Hołowiatynem. Przedewsią jest tam jar głęboki po prawej ręce, a od niego rozchodzą się pomniejsze doliny i giną w lasach, co już ciągną się do samego Żabotyńa. Tam zwróciliśmy na prawo

z bitego szlaku i zajechali na futory. Trzeba było tu przebyć cały dzień, gdyż niebezpiecznie byłoby przejeżdżać przez Żabotyń w dzień biały, a ominąć go nie można. Popowicz wyprzągnął konie i poprowadził je na lewadę, a ja zostałem przy Laszce. Co tu mówić do niej?—myślałem, mnie, okrwawionemu zbrodniarzowi, do tego czystego anioła? Jak hulałem na wieczornicach, tam miałem o czym mówić dziewczętom, ale to w wesolości i żartach — a tu ona drżała jak w febrze, a płakała, że aż mi straszno robiło się w lesie... Ani prośby, ani błagania moje uspokoić jej nie mogły, aż zniecierpliwiłem się i uderzyłem kuliakiem w głowę:

— Cyt!, przekłete dziecko! — rzekłem — bo zadławię jak kurczę!...

Postrzegłem już wtedy, że nie tak coś się składa jak myślałem. Jaż-bo, myślałem durny, że ona przypomni nasze dawne życie, moją szczerą miłość i pokocha mię znowu jak kochała kiedyś,—a ona wtedy była prosta jak chłopka, a teraz lacka krew w niej ożyła... Poczekajże, myślałem, wyrznię ja wszystkich Lachów, nawiozę ci sukien ze wszystkich Laszek, jakie są w Śmile, posadzę cię panią w Hulajgrodzie, a wtedy, jak nie będziesz miała już oglądać się na kogo, musisz przywyknąć do mnie. I tak z nią męczyłem się dzień cały. O zmroku wyjechaliśmy z lasu i przed świtem zbliżyli się do monasteru. O kilka hoń od monasteru są dwa młyny wodne, a przy nich chat kilka. W jednej z nich mieszkała młoda i hoża mielniczka, Fedora. Zajechaliśmy do niej, a że byłem jej znany, bo

tam chodziliśmy często z monasteru na wieczornice, opowiedziałem jej wszystko i oddałem Laszkę pod dozór, zaleciwszy, żeby jej nie pokazywała nikomu, — a sam poszedłem do Ihumena. Padłem mu do nóg i przyznałem się do wszystkiego. Co mówię: nie przyznałem się, lecz skłamałem, bo rzekłem:

— Ojcie, przywiozłem tu Laszkę, córkę Mohylskiego. Ona chce wyjść za mnie i jeszcze nieboszczka matka moja pragnęła nas połączyć, ale biesów Lach nie pozwala.

Ihumen pokiwał głową i rzekł mi:

— Nie czas teraz synu, myśleć o tem, pierwej trzeba wywieść kąkol z pszenicy. Cóż będzie jak dowie się o tem ataman, jak dowie się całe towarzystwo? My gotujemy się na Lachów, a ty już się z nimi bratasz, już ich skrywasz? my zalecamy rycerzom naszej świętej wiary bezzeństwo, a ty chcesz splamić siebie nieczystym grzechem? Szatan cię kusi, pluń na niego potrzykroć!

Stałem przed Ihumenem ni żywy, ni martwy, a potem padłem mu do nóg i rzekłem:

— Przebacz mi, ojcze! zgrzeszyłem, ale odtąd obiecuję poprawę.

— Cóż zrobisz z Laszką?

— Zaprowadzę ją w las i zabiję.

Ihumen pomyślał trochę, a potem rzekł:

— Czy nie ta to sama, co bywa u mnie z Kwasińską?

— Ta sama, ojcze.

— Dla Kwaśniewskiego nie rób tego. To dobry Lach i kto wie czy na naszą nie przerzuci się stronę. Czy Mohylski bogaty?

— Skąpy dyabeł, rzekłem, więc niewiadomo czy ma co czy nie ma; ale ludzie powiadają że, mierząc grunta poznajdował *prykmety* i powykopywał pieniądze. Potem kazał mi, żebym odesłał ją do jego pasieki pod Hruszkówką w Kalinowym jarze, nieopodal od monasteru i tam kazał trzymać.

Powróciwszy do Fedory, zastałem Laskę w gorączce, wygadującą niestworzone rzeczy. Oczy jej błyszczały jak rozpalone węgle, a twarz buchala ogniem i czerwieniła jak kawon. Żeby zbyć się kłopotu, a najbardziej, żeby Żeleźniak nie dowiedział się o tej kradzieży i nie kazał mię obić, bo oto u niego było łatwo, — zaprząglę konie do wózka, ubrałem Laskę w zapaskę i świtkę, a głowę zawiązałem chustką jak młodocy i odwiozłem do Kalinowego jaru. Tam oddałem ją babie i dziadowi, zaleciwszy, żeby ją leczyli i pilnowali, ażeby, gdy wyzdrowieje, nie uciekła.

Teraz wróćmy do Smiełańskiego zamku. Pochwycenie Mohylskiej sprawiło tam trwogę i powszechne oburzenie. Rozbieżono się na wsze strony dla odszukania jej, lecz napróżno. Młody Niezabitowicz latał po okolicznych drogach i lasach przez całe trzy dni, lecz powrócił z niczem. Nikt prócz Mohylskiego nie domyślał się istotnych pobudek porwania, i dlatego dziwiono się, że hajdamaka skradł dziewczynę, a nie pieniądze, bo to u nich nie było we zwycza-

ju. Lecz nakoniec, gdy ściśle badania odkryły stosunki Nestora z Oksaną, zgodzono się na domysł, że Józję pochwycił hajdamaka, jedynie w zamiarze wymożenia na Mohylskim okupu, tembardziej, że o Mohylskim chodziły wieści, iż znalazł duże skarby, lecz je skrywał. Ten przypadek i inne, odkryły w krótkim czasie innego rodzaju obawę. Zaczęto postrzegać między chłopstwem, a nawet w szczupłej zamkowej straży, oznaki nieposłuszeństwa, jakichś ciemnych przechwałek, ciągłą pijatykę i udawanie się tłumami niby na odpust do Motroneńskiego monasteru. Gubernator zapełnił więzienia nieposłusznymi, chłostał ich, wzbronił wydalać się bez świadectw, zbierać się gromadnie na ulicach, lecz to nie zmniejszało niekarności i najspokojniejsi dotąd chłopci, wezwani do tłumaczenia się, odpowiadali ciemnem: Nie wiemy, Bóg-że go wie co to wszystko znaczy! Żydzi wszakże naprzód przewąchali co się święci, i o zbieraniu się jakichś tajemnych narad w monasterze donieśli rządcy. Skoro wieść o mającej nastąpić rzezi gruchnęła między ludem, szlachta z okolecznych wsi zaczęła wynosić się do miasteczek i zamków, z żonami, dziećmi i dobytkiem — a niedługo czekano i samego rozwiązania obawy. Z Kwaśniewskim, gubernatorem i natenczas pułkownikiem milicyi Czehryńskiej, komunikacya została przerwana. Posłani kozacy nie wracali, lecz i setnik Podhalski nie wrócił także i niewiadomo co się z nim stało. Wtem zaczęła krążyć wieść, że na jarmarku w Medwedówce, kozak Maksym Żeleźniak zbuntował chłopów, namawiając do łącze-

nia się z nim dla rzezi Lachów i żydów; a nakoniec, że szarańcza ta krwawa wyrzgnęła z lasów, że w Żabotyńcu wycięła żydów i ciągnie ku Śmile. Żeleźniak sam, zda się, nie wierzył w swe postępy. Rozpoczął zbierać, jak watażka, bandy i, usposabiając chłopstwo na swoją stronę, robił to jedynie w celu niestawienia mu oporu, a przybywszy do Śmiły, z secin liczył już na tysiące wyjącej tłuszczy, która go pchała krwiożerczym instynktem z mordów na mordy. Śmielański zamek padł bez obrony, i ztądto na większą skalę buchnął ów krwawy strumień, co się zatrzymał aż na Humaniu, gdzie wezbrał już jak rzeka. Nie pójdziemy w ślad za jego szalonym biegiem, ale musimy rozjaśnić cokolwiek tę okropną scenę na śmielańskim zamku, o tyle przynajmniej, o ile wiąże się z naszą powieścią. Nestor, zaprawiony do rzezi w stepach, wiódł i tu tłuszczy na mordy. Wybrawszy ze czterdziestu ludzi z motłochu, rzucił się w prawo, wpadł do Hulajgrodu, przetrząsnął najskrytsze wyspy taśmińskie, lecz nie tam nie znalazł i nikogo; nie tracąc więc ani chwili czasu, poszedł ztamtąd ku Śmile. Łuna pożaru wskazała mu, że tam już zdążył watażka Szyło. Był to pierwszy wzięty zamek i powodzenie ich oręza upoiło Nestora do reszty. Na zamku zastał on już rzeź ukończoną. Motłoch zabawiał się na rynku, pijąc gorzałkę i miody, obdzierając kościółek i piekąc na spisach żydzięta. Nestor przepatrzył uważnie trupy, lecz między nimi nie znalazł Mohylskiego. Wchodzi do oficyny zamkowej i w ciemnym kącie jednej izby postrzega tulącą się Oksanę. — Gdzie

twój Lach? krzyknął. — mów, ty musisz wiedzieć! — Oksana wskazała ku stajni. Wpadł tam Nestor i na poddaszu, zapelnionem sianem, odszukał Mohylskiego. — Wstawaj, Lasze! krzyknął Nestor, rozliczymy się z sobą, czas już dawno!

— Czy córka moja żyje? — zapytał Mohylski.

— Żyje.

— Daruj mi życie, powróć mi ją — a dam co zechcesz! — i upadł na kolana, wznosząc ręce.

— Gdzie twoje pieniądze? — zapytał Nestor.

— Powiem; ale przyrzecz mi pierwej, że darujesz życie i oddasz córkę. I Mohylski rozognionem okiem patrzył w oblicze Nestora.

— Przyrzekam... — mruknął Nestor z piekielnym uśmiechem.

— Kazanek srebra i hładysz dukatów są zakopane na ostrowie taśmińskim, o dwadzieścia kroków od chaty, ku wschodowi słońca, pod jabłonią.

I Mohylski, na potwierdzenie prawdy słów swoich, złożył na krzyż palce i krzyż ów pocałował. Nestor stał nieruchomy — oczy mu strasznie gorzały blaskiem, a lica co chwila w inny przeobrażały się wyraz. Jakieś myśli, jakieś straszne zamiary wirowały w piersi i głowie, a oczy tymczasem nieoderwanie pasły się zdobyczą, której nie spuszczał na chwilę. Mohylski z całego ciągu tej niemej ale straszliwej walki odgadł rozwiązanie inne niż to, jakiego się spodziewał — i wściekła rozpacz owdładnęła nim w okamgnieniu. Żył nabrzmiały mu na skroni—





i konwulsyjnie ściągnęły się pięści. Łada skinienie, przyspieszyć mogło śmiertelną walkę...

Nestor postrzegł, że wróg przeczytał z jego oczu dawno mu zgotowany wyrok i, podwoiwszy ostrość spojrzenia, zapytał:

— A córkę oddasz?

— Córkę?... — powtórzył Mohylski i zaryczał. Nadludzkie męstwo owładnęło nim w tej chwili. Podniósł on kułaki, przystąpił bliżej do Nestora i krzykiem serdecznym, na który wzdrygnął się zbójca, rzekł:

— Chamie! rozbójniku! masz-że ty sumienie tą krwawą dłonią dotknąć szaty tego niebieskiego anioła?

Silne uderzenie kułakiem w głowę przerwało dalsze słowa. Zwalonego Nestor pchnął spisą, ale Mohylski zerwał się, pochwycił Nestora za szyję i, rycząc, tocząc pianę ze wściekłości i bólu, kąsał go i szarpał tak silnie, iż w tem wzajemnem pasowaniu się obaj z poddasza upadli na ziemię. Mohylski zacharczał i skonał z zębami zaciśnionemi głęboko w ramieniu zbrojcy i skostniałemi rękoma około szyi jego.

---

Wiemy z historii, jak się skończyła Koliszczyzna. Tłuszcza, oblawszy krwią niewinnych Ukrainę, rozsypała się później, lub dała się powiązać bez boju garstce żołnierzy.

Ale skończmy naszą smutną legendę o losach Józi. Nestor z nożem i spisą przeszedł Ukrainę od Śmily do Humania, a ztamtąd uciekł w stopy z Żeleźniakiem. Gdy wojska rosyjskie doгнаły ich i rozbiły ostatecznie, Nestor potrafił umknąć i wałęsał się czas długi w pustyni, przesiadując najczęściej na buhskiej wyspie Mihei, sławnem koczowisku włóczędzów.

Doszła do nich wieść od zbiegów, że na Ukrainie hetman Branicki i regimentarz Stempkowski całemi secinami łowią i tracą hajdamaków i że Gonta wyzionął ducha w mękach. Gdzie się obracał Żeleźniak? nikt nie wiedział. Jedni mówili, że zginął; inni, że odesłany został do Kijowa, a inni, że chowa się w motroneńskich lasach. Nestor widział, że już bujne życie na stepie z buławą i nożem wrócić się nie może i że trzeba szukać dalekiego kątku, gdzieby ochronić głowę od szubienicy. Do Siczy nie poszedł, bo tam, na groźny ukaz Carycy, łowiono równie Zaporozców za wydalenie się i należenie do Koliszczyzny, — a więc postanowił zabrać skarb Mohylskiego, pójść za Dniestr i osiąść gdzieś w besarabskich stepach. Odziany po chłopsku, bez broni, pieszo, ruszył ku Śmile. Szedł nocą, a dni przesiadywał w bajrakach i lasach. Do wsi wejść było niepodobieństwem, bo wszędzie krążyły komendy i łowiły rozpierzchłych zbrojców. Głód i steranie się po lasach wyniszczyły jego siły, lecz nakoniec po dniach kilku wędrówki dostał się do motroneńskich lasów. „Przypomniałem sobie wtedy, — mówił mi, — Mohylszczankę, i przyszła

mi dziwna myśl, jeśli żyje dotąd na futorze, zabrać ją z sobą; ale w tejże chwili stanął mi w pamięci stary Lach, jej ojciec, i jego słowa: „Chamie, rozbójniku! masz-że ty sumienie tą skrwawioną dłonią dotknąć się szaty tego niebieskiego anioła!“ i zdało mi się, że szczęki jego dotąd mię trzymały za ramię, że ręce obwijały szyję, a twarz zapieniona z błyszczącymi oczami patrzyła na mnie ot tak bliźniutko, że aż cofnąć się musiał... Tak nadchodziły na mnie dumy jedne po drugich i przechodziły, jak nadchodzą i przechodzą chmury w noc jesienną, a ja niszczałem i chudłem. Było już dobrze późno—serce mię piekło a wody pić nie mogłem. Żeby mi kto podał teraz czarkę wódki, pomyślałem, życie moje oddałbym za nią!... Wtem pokazał mi się znów dyabeł, drugi to raz w mem życiu, taki sam jak pierwszej w Hulajgrodzie. W jednej ręce trzymał flaszkę wódki i podawał mi ją, a drugą tymczasem zarzucił na moją głowę stryzynek i ciągnął do dębu. Wyprężyłem się, schwyciłem za powróż i ten pękł w mojej ręce, a dyabeł zachychotał i zatupotał po lesie, że aż zaszumiły wierzchołki drzew het po jarze. Od tej chwili obrzydło mi życie; wałęsałem się jak pijany po jarach i szedłem sam nie wiem dokąd i którędy. Jakim cudem trafiłem na futor motroneński, Bogu to wiadomo jednemu! Stary didora nie poznał mię odrazu, a poznawszy, dał mi w kark kulakiem i wypchnął za drzwi, mówiąc: — Idź sobie z Bogiem, zkądś przyszedł! Mało zgubiliście ludzi, że jeszcze mnie starego chcesz zawiesić na szubie-

nicy. Wyszle kości czterech moich synów, synów jak sokołów, jak chorągiewki ot tam w Żabotyńce kręcą się na palach... I przeklinał aż straszno. Wyszedłem. Na przełazie spotykam babę, jak z próżnemi wiadrami przeszła mi drogę.—Babo, gdzie Laszka? zapytałem. — Och moja *nenko!* och Boże mój! krzyknęła, zalamując ręce,—a wy od kogo? może od rejmentarza? Nie wiem serce, nie wiem *hotubczyku!*, sokole, rybko, dalibóg nie wiem! niech szernieję jak ziemia, niech jutra nie doczekam, jeśli wiem choć na tyle... Chorowała biedaczka długo—wyszła jak drzazga, zwaryowała i uciekła!... Zimny pot mnie oblał — opuściłem futor, przeszedłem przez Żabotyń i za dnia jeszcze stanąłem w Śmile. Pierwszy to raz pokazałem się między ludźmi, i po co zaszedłem do Śmiły, kiedy mi trzeba było z Żabotyń wziąć się na prawo, do Hulajgrodu, tego sam nie wiem dotąd: Tam stały przy carynach pale i szubienice, a na nich wisały i kręciły się trupy. Na bazarze było mnóstwo ludzi; ostąpili coś jak tabunne konie i straszne było ich milczenie... Zbliżyłem się—przecisnąłem przez tłum i poznałem Pańka Bezhubego, jako go parą wołami kat naciągał na tykę. Poznał on i mnie, bo mrugnął, jakby się zęgnął ze mną, potem schwycił brodę w zęby i zaczął przewracać oczyma... Wtem naprzeciwko mnie krzyknął ktoś nieswoim głosem... podniosłem oczy i postrzegłem nędzną i wychudłą kobietę, w podartej koszuli, z rozpuszczoną kosą, jak wskazywała na mnie palcem i wrzeszczała: — Ratujcie mnie, kto w Bo-

ga wierzy!... Nestor! Nestor! hajdamaka! hajdamaka!

Ktoś inny zląkłby się w podobnem zdarzeniu; za mnie zaś, czułem, jakby jakiś ciężar spadł z serca. Ostąpili mię siepaki i zapytali: — Czy ty istotnie hajdamaka? Przyznałem się im odrazu, a gdy wtrącili do więzienia, pierwszy to raz spałem noc całą jak zabity.

---

Do czasu wyznań Nestora, nikt ze śmielańskich mieszkańców nie domyślał się, że obłąkana, biegająca po Śmile, była to śliczna niegdyś Mohylska Józia. Wzięła ją do siebie Kwaśniewska, lecz jak długo wlokła oplakane życie i czy powróciła do zdrowia? dowiedzieć się nie mogłem. Tyle faktów tej smutnej historii, myślałem nieraz, odsłoniłem z podań, a ostatniego, o losie tej biednej dziewczyny, nie mam w ręku. Pojęcie moralne, co żyje w nas, o nagrodzie i karze, co godzi nas z życiem i losami, z którym tak błogo duszy, jeśli upatruje przystępną dla jej pojęć sprawiedliwość wyrazów boskich, szeptało mi, że może ta wydarta ostatnia kartka historii jest właśnie opisem tej pięknej nagrody za cierpienia... i już dopisywałem ją w sercu wedle jego moralnych sympatyj, kładąc na głowie młodej dziewicy męczeński wianek z cyprysu

i cierni, — gdy zdarzenie odsłoniło mi zakończenie w najwyraźniejszy sposób.

Pewien szlachcic, staruszek, Walenty Bujnowski, miał u siebie spis cudów, dopełnionych przy obrazie Najświętszej Maryi Panny w kościele śmielańskim i złożonych na ołtarzu *votum*. Przepatrując ową książeczkę, jakże byłem uradowany, znalazłszy między innemi taki zapis: „Piętnastego augusta 1770 roku, Stefan i Jadwiga Kwaśniewscy, wraz z Janem i Józefą z Mohylskich, Niezabitowiczami, złożyli na ołtarzu przed cudownym obrazem Najświętszej Maryi Panny w kościele śmielańskim złote *votum*, wyobrażające dziewiczą głowę w cierniowej koronie, a to na pamiątkę wysłuchania ich modłów, cudownego znalezienia na rynku w Śmile 20 7bra 1768 roku w stanie obłąkania, ur. dziewicy Józefy Mohylskiej, porwanej przez hajdamaków przed rzezią i niemniej cudownego przywrócenia onej do zdrowia na dniu 15 aug. 1769 roku.“ Relacya cudu taka: „Ur. ur. Stefan i Jadwiga Kwaśniewscy, wraz z ur. Niezabitowiczem, naręczonym Józefy Mohylskiej, nie mogąc odzyskać porwanej ze śmielańskiego zamku przez hajdamaków pauny, udali się z prośbami swemi pod opiekę Najświętszej Maryi Panny, ażeby za jej przenajświętszą przyczyną, jeśli znajduje się przy życiu, była im powróconą; ślubując przytem pójść pieszo do kościoła na odpust, przypadający w dzień Wniebowzięcia N. Maryi Panny 15 aug.; leżeć krzyżem przez czas całego nabożeństwa i odprawić Nowennę. Co dopełniwszy i zawiesiwszy *votum*, zeznali uroczyscie

przy świadkach i własnymi stwierdzili podpisami. Maryo, Matko Boża! módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej, amen.“

Nestor już umarł. Kamienne jego zdrowie wytrzymałoby dłużej, ale wyrzuty sumienia go dobiły. Ostatniego roku swego życia, zaczął pić bez przerwy i pewnej nocy znaleziono go nieżywego w Hołowiatynie na ulicy.

Stary zbrodniarz mówił mi często: — Powiedz mi Lasze, za co mię Bóg trzyma jeszcze na świecie? za co mnie jednemu sądzono było ująć rąk kata, kiedy tylu moich towarzyszków skończył na palu, i kości ich, dawno już, dawno przejadła ziemia? A ja pomyślałem: — Może dlatego, że dla takiego, jak ty, zbrodniarza, pal byłby\*za małą męczarnią. Bóg ci zgotował kilkadziesiąt lat męki powolnej i śmierć — może bez przebaczenia, jak sam byłeś bez pokuty i skruchy!

Mijają lata, z latami zdarzenia.  
W ostatnim dymie zgasłego płomienia  
Wróciły w piekło szatany zniszczenia  
Świetnie przejrzały nieba Ukrainy,  
Zabrzmią śmiało eieha pieśń dziewezyny,  
Czas lasem okrył ostatki ruiny.  
Gdzie bojowiska czaszkami białe, —  
Ulewna burza bruzdy tam zorywa,

W skwarny dzień lata złością się tam żniwa,  
Kwiat się tam, z wiosną, wykluwa, nieśmiały,  
Złomki szumienie świecą próchnem ziemi;  
Nad zwycięzcami, nad zwyciężonymi,  
Trawą usłana mogiła zapada:  
Tam błędny żebrak do snu pacierz gada.

K O N I E C .